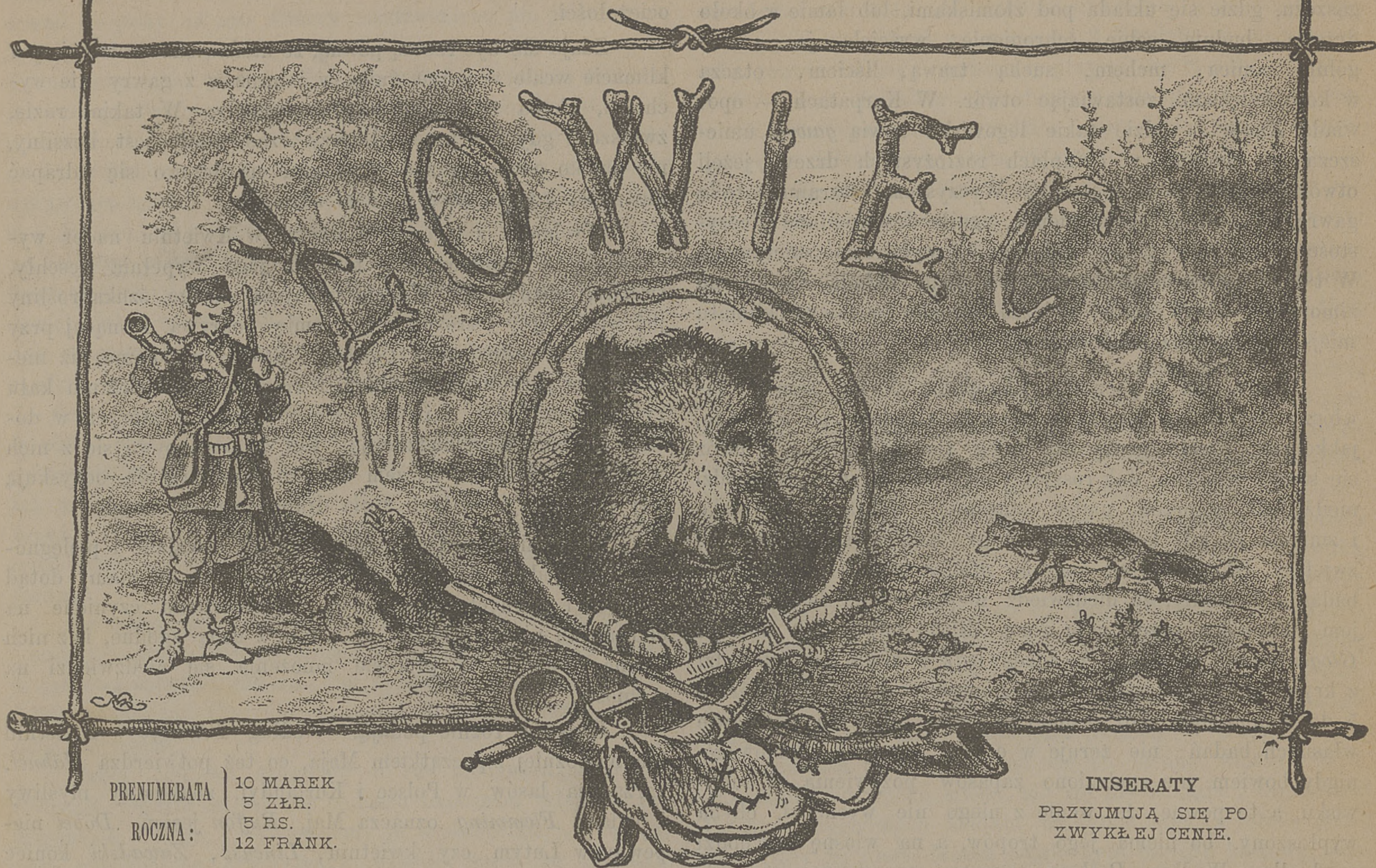
Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1879. Rok II.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Benoe Atanazy
Ćwierzewicz Edward
Gargaszyński Jan ks.
Glanz Karol c. k. lustrator lasów
Jaźwiński Karol
Kuczyński Leon
Łubieński Roger hr.
Mattauschek Wacław c. k. lustr. lasów
Mikolasch Karol c. k. lustr. lasów.
Minasiewicz Mikołaj
Piotrowski Stanisław
Romanowski Tadeusz
Sauschek Franciszek
Smalawski Jan
Straszewski Mareeli
Wierzbowski Edmund
Winter Kornel c. k. star.
Ziglbauer Edward c. k. lustr. lasów

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

NIEDŹWIEDŹ.

Wiadomo, iż na zimę niedźwiedź układa się w legowisku i zapada w sen. Badania nie podają dotąd o tem pewnych i niezbitych wiadomości. Różni różnie twierdzą, przywiedziemy owe twierdzenia, pragnąc rzecz w krótkości ale wszechstronnie czytelnikowi przedłożyć. Dawniej mniemano, iż zapada na całą zimę w sen letargiczny, z którego się wcale nie budzi, nowsze badania zaś stanowczo zaprzeczają temu twierdzeniu i wykazują, iż sen ów jest tylko wynikiem ociężałości i ospałości. W późnej jesieni, przed pojawieniem się śniegu, szuka niedźwiedź dogodnego dla siebie legowiska w rozpadlinach skał, w pieczarach, które gotowe znajduje, sam sobie wygrzebuje, lub tylko rozszerza,

w dziupłach drzew, czasem w ciemnym i niedostępnym gąszczu, gdzie się układa pod złomiskami, lub łamie w około drzewa, buduje sobie schronienie, wyściela je, szczególnie samica, mchem, suchą trawą, liściem, otacza w koło gałęziami, zostawiając otwór. W Karpatach — opowiada *Knaur* — gdzie takie legowiska zowią *gawrą*, umieszcza się chętniéj w dziupłach rozłożystych drzew, jeżeli otwór nie jest zbyt obszerny. Wyczyszcza starannie taką gawrę, wyrzucając z niej ziemię, zgniłe drzewo i inne nieczystości, wyściela grubo gałązkami, wyborowo zbieranemi. W takiem wygodnem i ochronnem łożu układa się do snu zimowego, który trwa podczas mrozów w miarę klimatu miejscowości, dłużej lub króciej.

Samica już w początku Listopada zalęga, samiec zaś włóczy się czasem jeszcze w połowie Grudnia po kniejach, jakkolwiek często gruby już śnieg ziemię pokrywa, a mróz się srożyć poczyna. Jak rossyjscy myśliwi utrzymują, obchodzi niedźwiedź naprzód nader starannie wybrane legowisko i zmienia je, gdy koło niego stopy ludzkie spostrzeże lub zwietrzy. Ułożywszy się zasypia. *Müller* podaje: wiarogodne badania dowiodły, że niedźwiedź nieprzerwanie leży w swojem budowisku przez całą zimę, dłużej nawet jak borsuk. *Gloger* mówi: wiadomo, że niedźwiedź w zimie nie wychodzi z kryjówki (chyba jest do tego zmuszony) i nie żeruje przez 5 do 6 miesięcy. Toż samo twierdzi *Helm* na podstawie własnych badań: nie żeruje w czasie spoczynku zimowego, nigdy bowiem nie znaleziono zapasów pożywienia w budowisku, a to pewne, że wcale z niego nie wychodzi, chyba wypłoszony, bo niema jego tropów, a na wiosnę wychodzi wychudły. Według *Brehma* opuszcza czasem w porze odwilży, nawet w Rossyi i Syberyi legowisko, i szuka wody lub żeru. Nieprzerwane mrozy i zaspy śniegowe trzymają go w schronieniu i zasypia tak mocno, iż go nawet hałaśliwe ścinanie drzewa nie budzi. *Loewis* twierdzi, iż wychodzi on z ukrycia swego raczej w początku snu, jak podczas zimy, a rzeczą jest niezawodną, że w Inflantach zagrzebuje się głęboko w śniegu na 3 lub 4 miesiące, żadnego nie przyjmuje pokarmu, i że z tego powodu jelita jego na wiosnę zupełnie bywają wypróżnione. Czytamy w *Journal de chasseurs:* w końcu Października przestaje niedźwiedź żerować, żołądek się kurczy, a paszcza zamyka się jakąś twardą massą, którą Szwedzi *tappon* nazywają. W takim stanie układa się do snu zimowego. Tappon ów jest dotąd problematyczny, może się wytwarza w skutek obumarłych funkcyi żywotnych. Wiadomo, że podobny wytwór znajdujemy u wszystkich ssawców i u człowieka przed urodzeniem.

Sen niedźwiedzia zimowy trwa w miarę klimatu miejscowości, króciej lub dłużej, gdy zima łagodna, zaledwo kilka tygodni, a w klimacie cieplejszym wcale się do snu zimowego nie układa, co dostatecznie stwierdzone jest sumiennem rzeczy badaniem. Gdy ma dostatek pożywienia, a mróz nie dokucza, to tryb życia jego w zimie się nie zmienia a nawet króciej spi, jak w lecie. Niedźwiedzica przed i po pomiocie nie przyjmuje żadnego pokarmu, nawet w niewoli. Niedźwiedź w lecie i w jesieni dobrze wykarmiony, odżywia się w porze snu własnym tłuszczem, nie żeruje wcale, a na wiosnę wychodzi z legowiska wychudzony i nędzny. Dawniej uważano, że niedźwiedź w legowisku liże łapy swoje, sądzono przeto, że wysysa z nich tłuszcz. Podanie to, przechodzące z ust do ust nawet w dzisiejszych czasach, jest zupełnie mylne, to jednak pewne, że na tem czas trawi, mrucząc z zadowolenia, co też dowodzi, że sen jego jest przerywany i raczej skutkiem ociężałości.

Zdaje się być rzeczą pewną, że niedźwiedź w ostrzejszym klimacie wcale w porze śniegów i mrozów z gawry nie wychodzi, chyba że z niej jest wypłoszony. W takim razie, zwłaszcza gdy już przez dłuższy czas leżał, jest bezsilny, nie daleko odchodzi, znowu zalęga, na drzewo się wdrapać nie zdoła i tylko korę z niego zdziera.

Wychodzi z legowiska zwykle w Kwietniu nader wychudzony i osłabiony, a trzewia jego wypełnia zeschły, twardy, czarny kał. W celu pozbycia się go, szuka rośliny już wtedy, gdy jeszcze śnieg ziemię pokrywa, rosnącej przy źródłach *(Nasturtium s. Caltha)*. *Steller* wspomina, iż niedźwiedzie przy nader trudnem i krwawem wydzielaniu kału ryczą przeraźliwie, zapierają się o drzewa, z których w dotkliwym bolu korę obdzierają. Kał ów wydobywa się z nich w wielkiej obfitości, poczem dopiero odżywiają się, odzyskują siły i rozpoczynają tryb życia drapieżnego włóczęgi.

Lubo niedźwiedzie często bywają oswajane i pielęgnowane, to jednak co do ich rozmnażania się, nie mamy dotąd ścisłych i pewnych wiadomości. Dostrzeżenia czynione na chowanych niedźwiedziach są o tyle z sobą zgodne, iż z nich można wnosić o procesie mnożenia się niedźwiedzi na wolności.

Czas *rui* różnie podają. Według *Petri'ego* w Kwietniu lub najpóźniej z początkiem Maja, co też potwierdza *Hähnel*, zarządzca lasów w Polsce i Kurlandyi, znakomity myśliwy i badacz. *Flemming* oznacza Maj, *Buffon* jesień, *Döbel* niepewny w Lutym czy kwietniu, *Lineusz*, *Zawadzki* koniec Października. Wątpliwość ta prawie stanowczo usunięta, ścisłe bowiem badania dowiodły, iż niedźwiedzie grzeją się w Maju i początku Czerwca, rzadko zaś w Lipcu, Sierpniu i Wrześniu, i to chyba w takim razie, jeżeli się połączy parę niedźwiedzi przez długi czas z sobą rozdzieloną, lub inna była w tem przeszkoda. Niektórzy z nowszych nawet badaczów twierdzą mylnie, iż niedźwiedzie zachowują monogamję, że samiec jest wiernym małżonkiem, związany przyrodzonem prawem jednożeństwa; wiemy jednak z licznych podań, iż gdy dwie pary w jednej zamknięte są klatce, to samce walkę z sobą staczają nie w obronie swoich małżonek, lecz raczej w celu posiadania obu samic, a zwycięsca zapładnia obie. Walka odbywa się w dziwny sposób. Naprzód rywale obchodzą się w koło, obwąchują, mruczą i czasem tylko podnoszą łapy, jakoby z groźbą, poczem oddalają się, następnie przystępują znowu do siebie, łapami się uderzają i usuwają, wreszcie coraz bardziej rozsrożone, stają na tylnych łapach, ujmują się wpół, ryczą straszliwie i szamocą się z sobą. Powtarza się to kilkakrotnie, dopóki jeden z nich pokonany i znużony z pola walki nie ustąpi. — Samiec opuszcza zapłodnioną samicę. Łączą się jak inne czworonożne, więc nie stojąc na tylnych łapach lub na wznak leżącej samicy, jak niektórzy twierdzą.

Jak ruja tak również brzemienność czyli *niedźwiedność* samicy podlega rozmaitym twierdzeniom. *Hähnel*, *Petri*, *Flemming* podają 9 miesięcy, *Döbel*, *Reumann* 30 do 36 tygodni, *Frank*, *Bechstein*, *Brehm* 6 miesięcy. Ostatnie twierdzenie zdaje się być prawdziwem, liczne bowiem obserwacye, dokonywane na niedźwiedziach w zwierzyńcach chowanych, wykazują, iż ruja zwykle przypada na Czerwiec, poród zaś na Styczeń. W Bernie od czterech wieków chowane niedźwiedzie stale tej pory się trzymały.

W zimowem legowisku, na wyścielonem starannie łożu, rodzi niedźwiedzica jedno, dwoje lub najwięcej troje młodych, dowód to jasny, iż sen zimowy niedźwiedzia nie jest letargiem. Ponieważ przewód jest nader ciasny i w czasie porodu się nie rozszerza, przeto młode są nader małe, nieco większe, jak szczur. Dawniej mniemano, iż płód przychodzi na świat jako niekształtna i wstrętna masa i dopiero w skutek lizania matki przybiera wyraźniejszą postać; przeciwnie są młode wprawdzie bardzo wątłe, ale nader powabne kształtem i później dopiero, gdy bujny włos porastać poczyna, stają się niekształtne. Gładkie są, włos króciutki, połyskujący, przylegający do ciała, barwy ciemno popielatej lub ciemno brunatnej. Jeżeli mają białą u szyi obwódkę, to tracą ją w drugim, trzecim roku, lub też później, a czasem, lecz bardzo rzadko się zdarza, iż zachowują ją przez całe życie. Rodzą się ślepo i przewidują dopiero w piątym tygodniu. Pazurki są małe, ale ostre. Po kilku tygodniach żywione obfitym pokarmem matki są tłuste. Owe bogactwo pokarmu dowodzi, jak wielki zapas sił żywotnych tkwi w tłuszczu niedźwiedzicy, k o c i s i ę ona w Styczniu, gdy już trzeci miesiąc się nie żywi, następnie przez trzy miesiące karmi młode, wcale nie żerując.

Po trzech lub czterech miesiącach są młode niezgrabne i brzydkie, głowa wielka, korpus w tyle szeroki. Matka karmi je czterma sutkami, nie zaś, jak niektórzy twierdzą, dwoma tylko przedniemi. Oblizuje je, czyści starannie i wcale się od nich nie oddala.

Nader ciekawe szczegóły o *rui* niedźwiedzia podaje *Pietruski*. Oparte są one na badaniu naocznem własnem lub przyjaciół, dlatego przywiedziemy je w skróceniu: „Uważając moje ułaskawione niedźwiedzie, dziwiło mnie, że wszystkie w Maju dobre i dowierzające się stają. 3 Maja 1841 r. uważałem, że członek rodzajny samicy mojej, bartniczki, a mianowicie wargi *(labiae)* mocno były nabrzmiałe (miała wtenczas 3 lata i 3 mies). Sądząc, że się istotnie grzeje i ponieważ ciągle przy drzwiach, które do samca prowadziły, siedziała, kazałem drzwi wysuwalne wyciągnąć i niedźwiedzia wpuścić, i w samej rzeczy nastąpiło parzenie, które w tym dniu dwa razy się powtórzyło, i przez cały miesiąc trwało. W Czerwcu nie chciała się niedźwiedzica parzyć. To parzenie się wszakże jako zbyt młodej samicy było bezskuteczne. Następnego roku 3 Maja kazałem niedźwiedzia o godzinie 4-tej po południu wpuścić, z początku igrały z sobą, przyczem się stojąc obłapiały. O 8-ej godzinie było pierwsze styczenie, które się tak jak u świń odbywa, tylko że niedźwiedź samicę przedniemi łapami tak mocno obłapia, że się zdaje, jakby ją dusił, ta ostatnia wtenczas okropnie ryczała i pryskała. Akt parzenia trwał dobry kwandrans, a ponieważ członek u samca jest opatrzony krzywą chrząstką, dla tego każdego razu następuje, tak jak u psów, związanie, tylko że nie trwa tak długo. Parkoć trwała od 3 do 24 Maja, było wszystkiego 13 styczeń. W porze brzemienności, w Lipcu długie kudłate zimowe futro zostało krótkiemi, letniemi włosami zastąpione, dla tego wydawała się moja bartniczka jeszcze chudszą, zresztą jadła z wielką żarłocznością i tańczyła wiele. Cyce były jeszcze bardzo małe, a kiedy je między palcami duszono, ukazywał się żółty płyn w rodzaju kolostrum. W Sierpniu była zawsze jeszcze chartowata i skakała wiele, cyce nie były większe, lecz uważałem, że skóra na brzuchu się rozszerzyła i obwisłą była. We Wrześniu okazało się więcej kolostrum, zimnych napojów nie mogła znosić, jadła wiele i skakała ciągle. W Październiku było podbrzusze mocno wiszące i była grubą, lecz w tej porze wszystkie niedźwiedzie są bardzo tłuste i grube. W Listopadzie tenże sam stan. W Grudniu uważałem z zadziwieniem, że nic jeść nie chce i w istocie od 2 Grudnia aż do nowego roku prawie żadnego pokarmu przyjąć nie chciała. Myśląc, że jest chora, dawałem jej ulubione jedzenie: miód, cukier, mleko, lecz wszystkiem gardziła, wprawdzie wszystkie niedźwiedzie daleko mniej jedzą w zimie, ale przecież przyjmują choć trochę pokarmu, dzikie podczas odwilży opuszczają nawet swoje gawry i szukają pożywienia (?). Dopiero teraz zaczęły brodawki piersiowe mocno rość między tylnemi nogami pod brzuchem, zgrubiała znacznie, tańczyła zawsze wprawdzie jeszcze, ale daleko rzadziej, jak przedtem. Po tych oznakach poznałem, że jest niedźwiedną. W Styczniu także nic nie jadła, leżała cały dzień, 8 Stycznia zaczęła znaczyć, tak jak cielne krowy. 22 Stycznia rano dano mi znać o rozwiązaniu. Pobiegłem natychmiast, lecz nic nie mogłem zobaczyć, gdyż matka przykryła dzieci swojem ogromnem ciałem. Dopiero po południu ujrzałem jedno, a następnego dnia drugie. Proszę sobie wyobrazić srebrzysto-popielate szczenięta angielskich brytanów, mają tylko 6 cali długości, króciutką śklącą sierść śrebrzystej barwy, śnieżnie białą szeroką obwódkę około szyi i przychodzą ślepe na świat. W dwóch pierwszych tygodniach ledwie ją można było nakłonić, aby się trochę wody napiła i tę musiano jej podsuwać, bo nie chciała ani na krok odstąpić. Sztucznem składaniem łap chroniła je od zimna, a otwarte miejsca zatykała paszczą. W porze wietrznej zasłaniała je sobą, kładąc się od strony wiatru. W 4 dni napiła się trochę mleka, ale się nie ruszała z legowiska. Po trzech tygodniach siadała na tylne łapy, a młode mruncząc ssały jej pierś. Matka ciągle była bardzo łaskawą, pokarm brała z rąk i pozwalała dotykać młodych. Piastuny przez 4 tygodnie były ślepe, a w 3im tygodniu srebrzysto-popielata barwa zmieniła się na szarą, włosy rosły długie, kudłate, a obwódka poczęła się zwężać i znikać. We dwa miesiące już łaziły i dostawały przednie ząbki, w Kwietniu oddalały się, bawiły się na dziedzińcu, lecz zawsze wracały do matki. W maju były wielkości mopsa, wydalały się, ale ssały jeszcze 2 do 3 razy dziennie. W Sierpniu kazałem je odłączyć.

Z tego wypływa, że parkoć niedźwiedzi przypada w Maju, że ciąża trwa $8^1/_2$ miesiąca, że małe w Styczniu lub Lutym na świat przychodzą. — Ztąd też wynika, że niedźwiedzie podczas parkoci są bardzo łagodne, nie tak jak inne drapieżne zwierzęta, że ciążę aż do ostatniego miesiąca rozpoznać trudno, że czas rodzenia przypada u nich w zimie co ile mi wiadomo prócz u myszy, u żadnego z krajowych zwierząt się nie dzieje, że nakoniec młode bardzo drobniutkie na świat przychodzą“.

Brehm opowiada: „Chowana niedźwiedzica rzuciła w końcu Stycznia dwoje młodych na przygotowanem ze słomy łożu. Jedno wkrótce po urodzeniu zdechło, drugie chowało się zdrowo. Srebrzysto-szary, krótki puch pokrywał je, oczy były silnie zwarte, ono prawie nieruchome, głos odzywał się w jękliwym ale donośnym pisku. Matka odłączona od swego małżonka nie wiele okazywała dla dziecka swego troskliwości, a więcej tęsknoty za swym małżeńskim towarzyszem. Skoro się zbliżył do jej klatki, wnet opuszczała piastuna i szła do niego. Z piastunem obchodziła się z wielką brutalnością, nosiła go w paszczy, jakby kawał mięsa, rzucała na ziemię, deptała po nim, i takiem postępowaniem sprawiła, iż po trzech dniach zdechł. Widocznie czyniła to

z tęsknoty za małżonkiem, a gdy ich po śmierci piastuna z sobą połączono, ustąpił dotychczasowy jej niepokój zupełnie. Po dwóch latach rzuciła taż sama niedźwiedzica 5 Stycznia znowu młode. Na trzy tygodnie przedtem, ułożyła się na legowisku ze słomy, nie ruszała się wcale, i nader mało jadła. Po porodzie nie jadła i nie piła wcale, chroniła starannie nowonarodzone piastuny. O samca w przyległej klatce wcale się nie troszczyła, zajęta tylko dziećmi. 17 Stycznia pierwszy raz powstała dla ugaszenia pragnienia i poczęła trochę jeść. Jedno młode zdechło, drugie w piątym tygodniu otworzyło oczy, w końcu Lutego poczęło łazić bardzo niezgrabnie, w końcu Marca chodziło już po klatce, w Kwietniu puszczało się już w dalsze wycieczki. Matka strzegła je starannie i łapą przygarniała do siebie, skoro się oddalić chciało, oczyszczała je rzucając do naczynia z wodą, zkąd wykąpane wyjmowała łapą. Pierwszą wbrew woli matki podjętą wycieczkę opłaciło ono życiem, zabłąkało się bowiem do klatki niedźwiedzia polarnego, który je w jednej chwili rozszarpał. Matka nie okazywała żalu, a dla małżonka, którego do niej wpuszczono, nie objawiała dawnej serdeczności".

Badacze twierdzą, iż niedźwiedzica na wolności wodzi piastuny aż do następnego grzania się, poczem zmusza je do samoistnego życia. Zdaje się wszakże, iż samica rodzi nie w każdym roku, lecz po dwóch latach, byłyby bowiem młode zbyt jeszcze nieporadne, by je matka samopas puścić mogła. Spostrzeżenia na chowanych niedźwiedziach stwierdzają to zdanie, lubo zdarzają się wypadki corocznego pomiotu, ale w takim razie albo odebrano matce dzieci, lub też wyginęły, a rzeczą jest pewną, że w takich wypadkach wszystkie zwierzęta ssące rychlej się grzeją. Nadleśniczy *Soncha* nadmienia iż chowana przez niego niedźwiedzica rodziła co roku, a w r. 1869 nawet dwa razy: 6 Stycznia i 29 Grudnia. Ale udusiła ona młode pierwszego i drugiego miotu, a przy trzecim odebrano jej dzieci i wychowano sztucznie. Są to anomalie, które u wolno żyjących zwierząt się nie wydarzają. Potwierdzają to doświadczeni rosyjscy myśliwi, i dziwią się, iż rzecz ta może być dla kogoś wątpliwą.

Młoda niedźwiedzica rodzi zwykle jedno młode, później dwoje, a nigdy więcej jak troje. Naprzód pielęgnuje je starannie w budowisku, następnie wyprowadza. Igraszki ich przed legowiskiem mają być bardzo zabawne. Stara znosi im żer lub uczy szukać zdobyczy. *Helm* wyjął z gniazda troje młodych, z których jedno tylko się chowało. W pierwszych dniach ważyło ono 41 łutów, w końcu miesiąca 1 ft. 27 łut.' po trzech miesiącach 5 ft. 8 łut., po czterech $12^1/_2$ ft., po pięciu 20 ft., po sześciu nie można go było ważyć, bo się bronił. W zwierzyńcach matka zaniedbuje często dzieci, na wolności prawie nigdy. Młode ssą sześć miesięcy. Matka je wodzi, uczy szukać żeru, znosi zwierzynę na pół żywą, aby się dusić i krew wysysać nauczyły i trzyma je stale przy sobie aż do pory grzania się, a gdy ona przeminie i samiec się oddali, łączy się z dziećmi i nawet z rocznemi kładzie się w zimowem legowisku, jeżeli nie jest niedźwiedną, w przeciwnym razie układa się samotnie, a młode szukają legowiska w pobliżu, ztąd zwykle myśliwi szukają obok budowiska samotnej niedźwiedzicy schronienia jej podrastających dzieci. Młode odtrącone przez matkę włóczą się przez całe lato około swego rodzinnego gniazda i chronią się w niem w czasie słoty i burzy, dokąd im matka stanowczo wstępu doń nie wzbroni.

Rosyjscy myśliwi i chłopi twierdzą, że niedźwiedzica starsze swoje dzieci używa i zmusza do opiekowania się młodszemi, i dla tego to nazwano owe dwuletnie niedźwiedźwiedzie, trzymające się matki i młodszego rodzeństwa, *piastunami*, zkąd nazwa ta przeszła na młode potomstwo niedźwiedzie każdego wieku. *Eversmann* opowiada, iż gdy pewnego razu taka rodzina przechodziła rzekę Kamę, płynęła matka naprzód, a gdy spostrzegła, iż piastun za nią postępuje nie troszcząc się wcale o młodsze rodzeństwo, które na brzegu pozostało, palnęła mu milcząc potężny policzek, poczem piastun pokornie powrócił i w pysku jedno przyniósł, a gdy wróciwszy po drugie na środku rzeki z pyska je wypuścił, wpadła gwałtownie nań, obiła go srodze i zmusiła do spełnienia powinności.

W Rossyi a szczególnie na Syberyi powszechnie wiadomo, że niedźwiedzica straż nad młodemi oddaje piastunowi, gdy sama skrada się po zdobycz, lub pochwyconą pastwą się raczy. Zawsze tam ma się znajdować w legowisku piastun, a opuszcza je, gdy inny go zastąpi, dla tego widzieć czasem można nawet czteroletniego piastuna śród rodziny niedźwiedziej. — Matka nader jest przywiązana do swego rodu, nigdy się prawie nie oddala i broni zaciekle. Zagrożone wprowadza do legowiska i tarasuje wejście gałęziami, a gdy niebezpieczeństwo nagłe, napędza młode na drzewa a sama staje w ich obronie. Samiec przeciwnie nie okazuje miłości rodzicielskiej, nie troszczy się o swe dzieci, nie zna je, a nawet pożera, gdy znajdzie gniazdo.

Młode pięcio lub sześciomiesięczne rozkoszne są i zabawne stworzenia. Ruchliwe a przytem niezgrabne, komiczne wyprawiają hece. Pustota ich niema granic, to drapią się po drzewach, to gżą się z sobą borykając i przewracając, to znowu uganiają jak opętane. Dla swego opiekuna nie okazują wdzięczności i miłości — dla wszystkich stworzeń są równie przystępne, ktokolwiek je karmi — jest przyjacielem, kto drażni i do gniewu pobudza — wrogiem. Drażliwe są niesłychanie, łatwo ich łaskę pozyskać, łatwo też ją utracić. Wszystkie przymioty rodziców, złe i dobre, w nich się także okazują, ale o wiele jaskrawiej. Pozostawione same, marnocząc całemi godzinami, liżą swe łapy. Każdy szmer, każda pojawiające się zwierzę przeraża je, wtedy powstają i kłapią szczękami. W drugiem półroczu życia swego przybierają naturę starych, stają się złośliwe i opryskliwe, opadają słabsze zwierzęta, kąsają i drapią swego hodowcę, i biczem tylko mogą być poskromione. Z wiekiem rośnie ich niezgrabność, drapieżność i żarłoczność. Można je wprawdzie mozolnie układając, do pewnego stopnia oswoić, rozmaitych sztuczek wyuczyć, nigdy wszakże nie należy im zbytecznie ufać, złośliwość ich bowiem i drapieżność, wreszcie siła i upor zawsze są nader grożne. Dopóki nie dosięgną późniejszego wieku, są łagodniejsze i pojętniejsze, lecz z wiekiem budzi się przyrodzona dzikość, a najczęściej oswojony niedźwiedź płaci życiem popełniony mord.

O s w a j a n i e i u k ł a d a n i e młodych niedźwiedzi nie tylko jest możliwem, ale nawet nie trudnem. Zwykle daje się im w tym celu miód rozpuszczony w piwie z chlebem. Później 2 funty chleba wystarcza do ich wyżywienia dziennego, mięsa nigdy nie dostają. Stare niedźwiedzie chowane potrzebują 6 funtów chleba dziennie. Troskliwie hodowane tracą w znacznej części swoją przyrodzoną dzikość i żyją często nawet dłużej, jak na wolności. Stałego wzrostu dosięga niedźwiedź po sześciu latach, więziony jednak zawsze o wiele jest mniejszy od swobodnego i już we wstępie nadmieniliśmy, że najroślejszy niedźwiedź w zwierzyńcu dochodzi wzrostu jednorocznego wolno się rozwijającego. Co do wieku, jakiego

dosięgnąć może — nie ma stanowczej pewności, zdaje się, iż żyć może dłużej nawet jak lat 50, tak długo bowiem nieraz w zwierzyńcach się przechowują, a stwierdzoną jest rzeczą, że samica po roku trzydziestym życia jeszcze się zapładnia i rodzi.

Oswojone niedźwiedzie są łagodne i posłuszne aż do pory odezwania się popędu płciowego, wtedy ufać im wcale nie można, a zwłaszcza drażnić je — jedna chwila obraca w niwec cały trud ich obłaskawiania, budzi się przyrodzona dzikość i drapieżność.

W niewoli zmienia się ich tryb życia, w zimie nie zasypiają, lecz tylko gnuśniejsze są i ociężalsze, kąpią się chętnie, a po jedzeniu ruszają się, najczęściej kręcąc się w prawo i lewo z nieruchomym zadem. Z wiekiem stają się ponure i groźne, zwłaszcza gdy są drażnione, w takim razie kryją się a przy dobrej sposobności opadają i drą. Dozwalanie lizania jest niebezpiecznem, liże niedźwiedź swym chropowatym językiem czasem aż do krwi, którą gdy ujrzy, wnet obudza się w nim chciwość krwi i srogość, trudne do pohamowania.

Wiadomo, iż młody niedźwiedź daje się wyuczyć różnych sztuczek, któremi śmieszy i bawi ciekawą gawiedź uliczną. Różnych w tym celu używają sposobów, morzenia głodem, chłosty, bezsenności itd. Do skoków i tańcu układają młode niedźwiedzie w klatkach z żelazną podłogą, pod którą rozniecają ogień wolny. Niedźwiedź trapiony skwarem, zaniepokojony i poruszony wspina się na tylne łapy, lecz wnet opada na przednie, a szukajac ulgi w cierpieniu, podskakuje. W tym czasie odzywają się nieustannie tony muzyki. Taka heca powtarza się często, a muzyka zawsze jedna przypomina biedakowi obowiązek podskakiwania i uczy posłuszeństwa. Zwykle piszczałka i bębenek bywają ową pobudką do hecy. — Lubo posłuszne, wykonują rozkazy z widocznym wstrętem i gniewem mrucząc, dla tego zawsze mają kaganiec założony na paszczy.

Po dworach możniejszych panów na Litwie, Rusi i w Polsce bywały niedźwiedzie dzikie na łańcuchach, lub też oswojone. Ostatnie wolno puszczone chodziły swobodnie. W niektórych dworach uzbrojone w grube pałki odbywały straż na ganku lub w sieni. U Radziwiłłów, Sołłohubów i innych panów polskich i litewskich zwykle 12 oswojonych niedźwiedzi zbrojnych w drągi, zalęgało ogromne sienie. Przed właścicielem lub znakomitym gościom, na znak dany, stawały na tylnych łapach i drągami prezentowały broń, a nie znających tej straży dworskiej przerażały liczbą, ruchami, rykiem. Opowiadają o jednym z Radziwiłłów, że chcąc lękliwego gościa swego, włocha, nastraszyć, rozkazał oswojonemu niedźwiedziowi roznosić potrawy. Włoch, gdy ujrzał kosmatego hajduka podającego półmiski, zemdlał z przerażenia. Radziwiłł „panie kochanku“ wjechał czterma niedźwiedziami w odwidziny do króla Stanisława Augusta. Tradycyjnie obiegają gadki o figlach, do których Mik. Potocki, starosta kaniowski używał oswojonych niedźwiedzi. Piszącemu opowiadano, iż niedawno zmarły we Lwowie hr. B., chcąc się pozbyć natrętnego żyda, który go w jakiejś sprawie zbyt często odwidzinami swemi molestował, kazał mu pewnego razu czekać w pokoju, który po wpuszczeniu owego gościa na klucz zamknięto. Po chwili widzi żyd wchodzącego innemi drzwiami niedźwiedzia zbliżającego się ku niemu. Na pół nieżywego z przerażenia żyda wyniesiono później z pokoju i już się więcej nie pojawił. Nader ciekawe szczegóły o oswojonym niedźwiedziu podaje p. Barthels w „Łowcu“ z. r. Moglibyśmy wiele przywieść przykładów, gdybyśmy swobodnie o tym przedmiocie mówić mogli.

Rzączyński pisze: „Łowiono niedźwiedzie za pomocą wódki zmięszanej z miodem, którą chętnie piją, poczem zupełnie rozmarzone i bezwładne zasypiają snem twardym. W takim stanie albo na miejscu zabijano, lub też wiązano, a później w klatce żelaznej hodowano. Bywają też w tym celu robione sztuczne wydrążenia, a w nich wstawiane ule z miodem, które gdy niedźwiedź wybiera, spada zasuwa i zamyka mu odwrót. Na Litwie niedźwiedzie trzymane są w klatkach, morzone głodem, skąpy tylko żer dostają i tym sposobem przyuczają się do posłuszeństwa i wykonywania pewnych sztuk. I tak ciągną kołem wiadro ze studni, lub dają się wprzęgać do wozu, a czasem nawet, co zaiste jest godnem podziwienia, wyprostowane dźwigają wory lub drzewo i niosą je na wskazane miejsce. Swidrygiełło, następca Witolda na księstwie Litewskiem, żywił niedźwiedzicę, która z brzaskiem każdego dnia, wychodząc z lasu zbliżała się do jego rezydencyi, otrzymywała żer i wracała do swej leśnej siedziby. — Włościanie ruscy i litewscy obłaskawiali niedźwiedzie i używali dźwięków piszczałki (które lubią niedźwiedzie) do wyuczenia ich zabawnych igraszek i tańców, a na znak dany kazali im się podnosić, zbierać obfity grosz od ciekawej gawiedźi, a jeżeli ów grosz zdawał im się być niedostatecznym, mrucząc i potrząsając głową o hojniejszy datek upraszały. Widziano na Szląsku niedźwiedzie sprowadzone z Litwy tak ułożone, iż nie tylko łapami biły w bębenek, ale też bardzo ucieszenie tańczyły. Takie niedźwiedzie dostarczają ponętnej zabawy również we Włoszech, Galii, Luzitanii“ i t. d.

W *Smorgonii*, w gubernii Wileńskiej, powiecie Oszmiańskim, należącej niegdyś do Zenowiczów, później w posagu do Radziwiłłów, założoną była szkoła dla niedźwiedzi. Mieszczanie tej mieściny układali niedźwiedzie w taki sposób: młody niedźwiadek, mając drewniane trzewiki na tylnych łapach, puszczony na gorącą podłogę, musiał chodzić na tylnych łapach, kłaniać się grzecznie i skakać z kijem. Wyuczone niedźwiedzie oprowadzano po całej Polsce, a nawet wyprawiano do innych krajów, a tych, którzy je wodzili, zwano *skomorochami* (może ztąd idą nazwy tylu wsi polskich). Od tej to szkoły pochodzą żartobliwe wzmianki jak: akademja smorgońska, uczeń szkoły smorgońskiej, gagatek smorgoński itd.

(Dok. nast.) *J. Ł.*

ZIMOWE ŁOWY NA LITWIE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

(Ciąg dalszy).

XII.

W ślad zatem poszła suta przekąska,
Z wędlin, bigosu, przysmaków różnych,
Do ostatniego zmieciono kąska
Wszystko, — że nawet i naczyń próżnych
Myć już nie warto, bo kredens cały
Świeci się panie, gdyby kryształy

Chłopom po czarce [1]) wódki rozdano,
I policzono dzień robocizny
Bo się na schyłku wtedy już miano,
Świętej pamięci matki pańszczyzny
A czy tam było lepiej, czy gorzej
At kto tam zresztą i wiedzieć może?
Po rublu całym wszystkim leśnikom,
Że dobrze czerty dopilnowali,
A po pięć dzielnym dwom osocznikom,
Że się z obławą tęgo spisali, —
A już furmance, na której jechał,
Nikt z nas na wódkę dać nie zaniechał.
I na nich znowu do tej wioseczki
Gdzie nas czekają koniki Jana,
Wracamy, krótkie paląc fajeczki,
Albo cygara J. Hannemana,
Które na Litwie, choć z Rygi rodem
Samej Hawany mają być płodem.
Tam przesiadamy znowu na sanie
Dworskie — ja z Jasiem w szalone pędy,
Bo dokuczyło mi już paplanie
O wnuczku wieczne starego zrzędy.
Jemu pakujem do sanek Rocha,
Ten się nie znudzi pewnie, bo — kocha...
I rzniemy lasem, a że mróz ściska
Na noc potężny, więc popędzamy...
Z nozdrzy paruje, a my wąsiska
Całe pokryte już szronem mamy,
A księżyc w pełni, jak talar duży,
Przyświeca szybkiej naszej podróży.
Ej co za widok w prawo i w lewo,
Jak okiem rzucić, wszystko posiane
Rosą z brylantów, a każde drzewo,
Z czystego srebra zda się ulane,
Każda gwiazdeczka tych cudnych nocy,
Jakiemż świadectwem Boga wszechmocy!
Po obu stronach wycięte w lesie,
Leżą na *trelach* [2]) drzewa towarne,
Które na wiosnę woda poniesie
Na piękny Bałtyk, lub morze Czarne,
A wszystko towar biały i zdrowy
Jak wyrobiony z kości słoniowej —
Kłajpedzkie brusy do Anglii gnane,
I Holenderskie, czyli *płaszczaki*,
Szpiry i kłody, *rundholcem* zwane,
Między któremi znajdzie się jaki
Wywleczon siłą szkap kilkunastu
Maszt objętości *palm* [3]) dziewiętnastu.
Dalej znów proste owe *korawki* [4])
Cięte zazwyczaj w sposób nieludzki.
Do spławu, albo tylko *wypławki* [5])
Na port Chersoński i Kremeńczucki,
Wszystko to razem, wyznać ze wstydem,
Niepraktycznością tchnące i żydem,
Bo cięte w sposób i niestosowny,
Z krzywdą tak wieku, jak i gatunku,
Bez znajomości, i to gruntownej
Równie leśnictwa jak i rachunku,
Bo żyd co łaska panu zapłacił,
A pan co dali zabrał i — stracił.
Ten dąb stuletni na *wańczos* ścięty,
Albo na *klebkę* przygotowany,
Ledwie w połowie pracy zaczętej
Został przez żyda zabrakowany,
Wieki go całe pielęgnowały —
Zmarnował jeden człowiek niedbały!
Oj ludzie, ludzie na Bożym świecie,
Wy właściciele znacznych obszarów,
Jak nie umiecie, czy też nie chcecie,
Szanować wielkich tych Bożych darów.
Ileż to dębów w oprawie złotej,
Wisi przy uszach nędznej kokoty!
Na to zrzędzenie Jaś mi tłumaczy,
Że się za lasy swe niepowstydzi,
I że w ostatniej byłby rozpaczy,
Gdyby wstęp do nich znaleźli żydzi
Wszystko to może być nawet faktem,
Lecz ja widziałem żyda z kontraktem.
Ale dość gderać i dość narzekać
Na ludzi, czasy i los zdradziecki,
Muszą nas dawno z obiadem czekać,
A już i widać dwór Lipowiecki,
Jaśnieją światła i dym z komina,
Ważniejsze rzeczy mi przypomina.

XIII.

Krótkie były przybory, wszyscy głodem gnani,
Aby użyć co prędzej tej potrzebie marnej,
Zebrali się przy stole, stosownie przybrani,
Kto we frak, kto w tużurek, ja w mój surdut czarny—
Rzuca mi się na szyję Zosieczka kochana,
Dziękując, błogosławiąc najczulszemi słowy,
Za ścisłe dotrzymanie danego jej z rana
Słowa, co do całości drogiej Jasia głowy,
Wraz ze skórą, nie mniej też na szwank narażoną
Od niedźwiedzich pazurów, z czego wniosek krótki,
Że Zosia nieodrodną od wszystkich jest żoną,
I że razby już warto przystąpić do wódki —
Choć Jaś zabił niedźwiedzia, i jemuby prawo
Służyło bohaterem być głównym dnia tego,
Zosia mnie posadziła przy sobie na prawo,
I przez cały ciąg dosyć obiadu długiego,
Karmiła mnie, poiła, służyła, bawiła
Jak to kobiety wszystkie, kiedy chcą, umieją,
(Chociaż to nie raz potem, taż gosposia miła
Za skórę ci zaleje sadła swą koleją).
Przy obiedzie Piotr głuchy je i nic nie gada,
Roch zakochany patrzy w Elżuni swej oczy,
Ignacy o swym wnuczku cuda rozpowiada,
Pawełek zasępiony duma na uboczy,
Bo mu trochę markotno na sercu być musi,
Że mogąc do niedźwiedzia strzelać zamiast skórę
Tego potworu złożyć u nóg swej Anusi,
Tylko od nas usłyszał zasłużoną burę. —
Damy zaś swym zwyczajem jedne o ogrodzie,
Inne jak nie o dzieciach, to gęsiach i kurach,
Panienki szczebiotały, jak to u nich w modzie,
O tańcach, karnawale, strojach i konkurach —

---

[1]) *Czarka*, półkwaterek.
[2]) *Trel*, droga zimowa wyłącznie do wywózki drzewa towarnego.
[3]) *Palma*, miara szpirów i masztów.
[4]) *Korawki*, drzewo sosnowe sześciosążniowe z korą.
[5]) *Wypławka*, małemi rzeczkami do głównej rzeki spławnej.

Obiad był doskonały, wina z pierwszej ręki,
I trwał nie nazbyt długo, za co — Bogu dzięki!

XIV.

Po obiedzie fajeczki, kawa i cygara,
Gawędka o niedźwiedziach, i rzecz oczywista.
Jak każe na zimowy wieczór moda stara,
Partyjka preferansa, lub zacnego wista;
Ignacy, zapalony wiścista, Piotr także;
Jaś, jak dobry myśliwy tak i gracz też dobry,
A i ja nie od tego, z warunkiem jednakże,
Żeby tak, jedno z drugiem. najwięcej trzy robry —
Pawełek grywa także — wist więc z wychodzącym
W pięciu, bardzo go lubię, bo nie tyle nuży,
A ostatnia to bieda w pokoju gorącym,
Po polowaniu, albo po dalszej podróży,
Zasiąść na kilka godzin, nie ruszyć się krokiem,
Dobierać maść do maści, sprzeczać się z partnerem,
I czekać póki raczy, z namysłem głębokim
Wystąpić z jakim treflem, pikiem albo kerem.
Siadamy — pierwszy rober idzie jako tako,
Przy drugim już Ignacy, co właśnie wychodzi,
Co moment nos potężny ładując tabaką
Po nowinki najświeższe do wnuczka zachodzi,
Wróciwszy kończy przy nas pacierze wieczorne,
Które musi koniecznie akuratnie zmówić,
Ale razem, jak widzi w wiście kwestye sporne,
Nie wytrzyma i musi koniecznie przemówić,
Z czego wynika pacierz tej mniej więcej treści:
Pan z tobą, błogosławion owoc... pików cztery...
Ależ wasan zagrałeś od siedmiu boleści
Z renonsu... *śmierci naszej...* fuszery, fuszery!
Kłótnie ich z panem Piotrem, człekiem pełnym buty,
Nie mniejszym też gorączką i oryginałem,
Milijona były warte. — Wszak miałeś atuty!
Dla czego nie wyszedłeś w atu? — Bo nie chciałem!
— Argument bez repliki, widać pana z miny,
Sit pro ratione voluntas — Ignacy powiada,
Na dowód, że tam kiedyś skosztował łaciny,
Bo to i po francusku niekiedy zagada.
Tym razem wist się skończył prędko wraz z herbatą,
Z dodatkiem tylko różnych przysmaczków niewinnych,
A że rano wstać trzeba, z uwagi więc na to,
Rozeszliśmy się senni do stancyi gościnnych.

XV.

Przeskoczmy proszę,
Nudne potrosze,
I nie ciekawe,
Z śmietanką kawę
Nam przyniesione
Także śniadanie,
I pożegnanie,
Rosą niebieską,
Zosiuni łezką
Smutnie zwilżone —
I ten nie duży
Naszej podróży
Zapas szczegółów,
Zgoła ogółów
Nie dotyczący,
Gdyż jadąc z Janem
Nieco zaspanym,
On był ponury,
A ja z natury
Także milczący, —
I dojdźmy prędzej,
Jakby po przędzy,
Nie do początku,
A raczej wątku
Opowiadania;
Ale od razu,
Bez ram obrazu,
A nawet wstępu,
Wprost do ostępu
I polowania.

XVI.

Zanim przyjechaliśmy, i nim psy puszczono,
Natychmiast po *pokliczy*, że ostęp *stoczono* [6])
Wstał niedźwiedź, i na czertę wytknął razy kilka
W różnych miejscach, chcąc drapnąć, tak że była chwilka
Iż Hryć zwątpił już bardzo, czy w gąszczy do koła,
Obława, chociaż czujna, utrzymać go zdoła.
Ostęp nie bardzo wielki — w części pod młodniakiem
I jak konopie gęstym, a bujnym jelniakiem,
Dawał mu wszelką łatwość, a zwłaszcza wzdłuż drogi,
Stanowiącej część skrzydła, podkraść się pod nogi,
Same chłopów stojących przy ogniach na straży,
Przeważnie z chat lesnickich i zdrowych smolarzy,
To też z tej strony poklicz: *Hej! kab pilnowali!*
Idzie gęsto, a każdy wzrok utkwiwszy w dali,
Wypatruje, czy czasem z pośrodka gęstwiny,
Nie wytknie łeb maruchy z za jakiej drzewiny —
Nie opodał też drogi stoimy już w budce,
Daniło się otrąbił, i słyszymy wkrótce
Gon, prościuteńko na nas, a raczej na drogę,
A prędki, widać idzie, jak mówią *przez nogę.*
Czyli w pełnym galopie — pilnujemy oba
Z biciem serca, czekając, czy mu się spodoba
Wyjść na nas. — Już gdzieś blisko, bo psy nie daleko
Najlepsze; a dwa tylko po tropie się wleką
Naszczekując — w tem słyszym przed nami trzask leży
— Idzie, idzie — szepnąłem, — i patrzymy, bieży
Wprost na nas, potem raptem, licho wie dla czego
Zwrócił nagle na lewo — tam bac, bac do niego
Z budki, gdzie Paweł z Rochem, o sto od nas kroków
Stali, w miejscu zarosłem gęsto z obu boków —
Bac, bac jeszcze, a potem już słyszym a ha ha!
Na czercie, *a kudy ty*, a ha ha, a ha ha!
Zlana w jeden grzmot ciągły przerywanych krzyków,
Groźb, przekleństw i wymyślań z trzaskiem harapników
Gonem psów, stukaniną, że przez minut parę
Serce mi zamierało tylko w piersiach stare
Z wzruszenia i chwytania. . iść tam... nie iść .. czekać..
Stać... nie stać... dać już pokój... śmiać się.. czy narzekać.
Potem chwila milczenia i *poklicz* nakoniec:
— *Padawaj, szto uciok!* Masz tobie i koniec!
Porzuciwszy więc Jana biegnę, ile mogę,
Przedzieram się przez gąszczek, wybiegam na drogę,
Z przygotowaną w ręku na przypadek bronią,

---

[6]) Skoro się dwa skrzydła obławy zejdą z sobą, idzie poklicz: *podawaj, szto stoczyli!* — i punkt ten nazywa się *stoki.*

Aż już słyszę, że pieski za ostępem gonią —
Masz tobie! pójdą za nim, póki jeszcze w sile,
Przerwawszy raz za czertę, dwie albo trzy mile,
Nie zbierzesz ich do kupy tak łatwo mój panie,
Przepadło na dni kilka nasze polowanie!
Ale cóż robić? gonią, pięknie, nie odlegle,
I jakoś wciąż od drogi prawie równolegle,
Warto już choć posłuchać i gonem nacieszyć,
Kiedy już nie ma po co do ostępu spieszyć. —
Idę więr sobie drogą, a droga wytworna,
Słońce świeci prześliczne, przechadzka wyborna,
Póki się da co słyszeć, lepiej tego słuchać,
Jak stać, słuchać narzekać, albo w łapy chuchać.
Idę więc i rozmyślam, a po cichu łaję
Daniłka, że wypuścił całą gończych zgraję,
Kiedy aż nadto było *Chajki* i *Cymbała*,
Żeby się rzecz najlepiej i prędko udała,
Zamiast tego i niedźwiedź uszedł sobie cały,
I psy najniepotrzebniej za ostęp przerwały,
I my z nosem na kwintę, długim niesłychanie
Powrócimy do domu jak niepyszni panie!
Idę tak rozmyślając ot, żeby iść sobie!,
Chociaż wiem, że mądrego nic pewnie nie zrobię,
I słucham, a gon idzie, ach, panie nad Pany!
Taki czysty, tak piękny, tak wystudjowany,
Jakby nim dyrygował pierwszy, mówię szczerze,
Kapelmistrz w włoskiej jakiejś najlepszbj operze!
Już tam nie poznasz *Chajki*, *Zagraja*, *Cymbała*,
Ale chór jeden tylko, i orkiestra cała
W przecudny akord zlana, a melodyi takiej,
Że gdyby ją uchwycił żywcem Szopen jaki,
Toby napisał koncert nad wszystkie koncerta,
I w kozi róg zapędził każdego Szuberta,
A z nim wszystkich autorów tych mądrych symfonii,
Z których żaden nie słyszał, jak polski pies goni—
Boże mój! co za całość w tem *largo* wspaniałem,
I czemuż go nie można zakończyć finałem
Z harmonijnego sztućca albo dubeltówki,
Z dodatkiem *wyciągłego* donośnej borówki!
Cóż robić! idźmy dalej, póki słuchać da się,
Zapomniawszy o świecie, przestrzeniach i czasie,
I cieszmy się tą myślą najściślej moralną,
Że nas los uczcił duszą tyle muzykalną!
Idę już z pół godziny najwygodniej drogą
Nie spiesząc się bynajmniej, i noga za nogą,
Bo niedźwiedź najwyraźniej idzie też pomału
Aż w tem... o wielki Boże! patrzę... z za *powału*
Grubego, na *połance* [7]) w lesie wyrobionej
I z wszystkich stron, jak zwykle, lasem otoczonej,
Niedźwiedź, jak na półmisku białym, panie miły,
Ogromny, z łba samego widać, wielkiej siły,
Bo psy, choć go trzymają krótko z każdej strony,
Wyraźnie go się strzegą, a on rozjuszony
Biega za niemi, skacze, rzuca się na boki,
Zatrzymując się chytrze prawie co trzy kroki,
I z pod łba wypatrując, czy którego gapę,
Nie uda mu się schwycić pod potężną łapę...
Ale pieski też mądre... *Zagraj*, *Cymbał* z boku,
Chajka i *Lutnia* z tyłu mają go na oku,
A *Szuwar*, stare psisko, tylko grubym tonem
Naszczekuje mu w oczy, machając ogonem,
Jakby urągał jego kłom i srogiej łapie,
Bo niekiedy przysiądzie, i sam się podrapie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

[7]) *Polanka*, kawałek pola, który sobie włościanie za pozwoleniem dworu, w dodatku do swoich pól, w lesie obrabiali.

NIEZWYKŁE POLOWANIE

Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA OPISAŁ

J. N. z Oleksowa GNIEWOSZ.

Rzecz działa się w Koronie r. 1861, gdy rząd nakazał oddać wszelką broń, mianowicie palną, jaką kto posiadał. Szanowny czytelnik pojmie, jaką niemiłą niespodzianką był ten nakaz dla całej rzeszy myśliwskiej. W nadzwyczajnych wypadkach dozwolonem było mieć jedną sztukę do użytku. Wprawdzie zapalony gajowy umiał ukryć w dziuple jakąś pukawkę, ale jeżeli jej użył, to w głębokiej kniei, gdzie nie miał innych świadków, prócz drzew, a puknął jedynie na zasiadce, na upatrzonego lub wydeptanego.

Od dawien dawna kwitło łowiectwo na pograniczu powiatów Olkuskiego i Piotrkowskiego, bo zacząwszy od Zarek, gdzie się rozpoczynały sławne niegdyś knieje Potoka Złotego, a dalej lasy Koniecpolskie, Podlewskie, Mokrzewskie, mogłeś bezpiecznie szyć knieją z jednej do drugiej na lewo aż ku Przedborzowi, gdzie to jeszcze tak wyglądało, jak za czasów, gdy król chłopków Kazimierz Wielki bawił się łowiectwem. Miałeś ostępy takie dziewicze, że nawet z matecznikiem wieszcza Adama mogły iść w zawody. Nie dziw więc, że i łowiectwo tam kwitnąć musiało, którego spuścizna przechodziła wiernie z ojca na syna. — Prawda, że wielkimi głowaczami okolica ta nie kwitnęła, ale miałeś serdeczną szlachtę, co to jak powiadają „dla Boga i dla ludzi“ — „do tańca i do różańca“. Ten co nie znał łowiectwa, i nie bawił się niem, uważany był za „hetkę pętelkę“. — U Potockich w Chrząstowie jeszcze dziś znajdziesz w przechowku, chociaż już nie do użycia, na całą milę sieci. Najsławniejsze psiarnie były u Tymowskich w Ulesiu i Kobielach. U nich każdy leśniczy, każdy gajowy, to był okaz, co go warto było dla potomności w spirytusie zachować, a prototyp nadleśnego był p. Dezydery Zarzycki, który dopiero przed 15 laty u Siemieńskich na gracyi żywot zakończył. Wytrawny łowiec i doświadczony, który w sobie wszelkie cnoty i przywary myśliwskie skoncentrował, obok tego łgarz i kpiarz w sztuce łowieckiej, jakiego może cała Korona drugiego nie miała. Figle, jakie płatał w towarzystwie łowieckiem i anegdotki, na długo po nim pozostaną w żywej pamięci. Szczególniej na *fryców* był to bicz boży. To też każdy dobrze się musiał p. Dezyderemu zasługiwać, aby go nie wziął na swe dwa ostatnie ząbki, które mu jeszcze pozostały. — Pana Dezyderego nikt jednak nie pojmował bez gajowego Łuki. Była to jego prawa ręka i prawe oko. Pan sługa, którzy się przez lat 40 nie rozstawali z sobą, wyszukali się jakby w korcu maku. Jeżeli się zdarzyło, że p. Dezyderego, starego ćwika, na jakim odpoczynku w kniei lub po łowieckiej wyprawie bałagułującego, napędzono w matnię i schwytano na łgarstwie, wtenczas Dyzio, zaklinając się: przysięgam Bogu“ — „jak Marysieczkę kocham“ (imię jego żony,) powoływał natychmiast na świadka Łukę, a ten zawsze tak umiał pana sianem wykręcić, że drużyna łowiecka za boki się brała od śmiechu, a p. Dezydery wychodził zwycięsko. Pomimo różnicy

stanu panowała między nimi miłość, jakby między rodzonymi braćmi. Przyczyna zaś tejże brała początek w nie bardzo bezpiecznych walkach kontrowersowych w lasach Potoka Złotego, gdzie toczył się od lat kilkudziesięciu słynny proces pomiędzy kilku pokoleniami miasta Przyrowa. Aż do roku 1845 staczane były prawie corocznie batalie nie na żarty, w których brało udział po kilkaset ludzi z każdej strony. Skarb Potoka utrzymywał potrojoną straż leśną, a pierwszym komendantem wysuniętych nieustannie placówek był Łuka, który gdy na znak trwogi zadął w swoją trąbę, p. Dezydery zamieszkały na nadleśnictwie w Zalesicach, o pół mili oddalonych, zrywał się choćby ze snu. Dawano sygnały aż do Potoka Złotego, i co tylko żyło luda, spieszyło do krwawej bójki z Przyrowianami. Otóż podczas tych najazdów, ile Łuka odebrał razów, guzów, i ile razy zalepiał łeb i inne części ciała pajęczyną z chlebem, tegoby i na sążniowej karbownicy nie zaznaczył. *Vox populi* twierdzi, że i p. Dezyderego plecy nie cieszyły się nadzwyczajnym szacunkiem w obec mieszczan Przyrowskich, i pytanie, czyby obydwa zuchy nie byli spoczęli na cmentarzu pod Wilczą Górą w Potoku Złotym, gdyby jakoś po kilkakrotnie jeden drugiemu w najkrytyczniejszej chwili nie był żywota salwował. Nie dziw więc, że taka drużba wytrwać może do zgonu.

Dosyć jednak tych wspomnień i przydługiego wstępu do krótkiego zdarzenia. Ale to już taki zwyczaj, że jak człek wpadnie na minione czasy, toby plótł i plótł chociażby noc całą. Było to, jak powiedziałem, na początku jesieni 1861 r. w końcu Października, gdy do Ulesia z jednej strony przyjeżdżał brat p. Tymowskiego, a z drugiej wjeżdżał p. Dezydery, Obok furmana siedział i Łuka, który z nawyczki długi kostur ulokował tak troskliwie koło siebie, jak swoją ukochaną dwururkę, w której doskonałość tak wierzył, że go zaledwie po dziesięciu latach zdołano namówić, aby zamki skałkowe kazał przerobić na kapiszony. Łuka miał taką antypatyę do kapiszonów, iż długi czas nie byłby za żadną cenę w świecie stanął w kniei obok myśliwego, który miał strzelbę zaopatrzoną „w ten diabelski wynalazek“, i nie mógł w żaden sposób pojąć, aby, jeżeli skałka nie skrzesze ognia na stalowej panewce, bez szatańskiej spółki mogła strzelba wypalić. Z początku nawet swej wyroczni p. Dezyderemu nie wierzył, i podejrzywał go o farmazońskie spółki. A gdy ten razu pewnego zapomniał w domu pudełko z kapiszonami i posłał Łukę, aby mu takowe przyniósł, to nie odważył się wziąć takich czarów do ręki, ale wyszukał starą babę, która miała renomę, że corocznie odbywa wojaże na łopacie na Łysą Górę, a więc jej żadne niebezpieczeństwo ztąd grozić nie może. Babę zmusił aby własnoręcznie pudełko wzięła, i za nim do kniei p. Dezyderemu zaniosła.

Pieski uleskie, spostrzegłszy przewodników wypraw, zagrały jednym głosem z radości, tak te, co były na dziedzińcu, jak i zamknięte w psiarni.

Obie bryczki zjechały się przed gankiem dworu, na którym oczekiwał już gości miłych młodszy p. Tymowski. Psia radość wywołała jednak w nim i przybyłych takie smutne wrażenie, iż powitanie było wierną kopiją, gdy ktoś przybywa do domu, w którym leżą zwłoki zmarłego przyjaciela, lub innej drogiej osoby. A gdy Łuka pokłonił się panom do nóg i całował ręce, to mimowoli kapnęła łza, która spłynęła z oka starego borsuka.

— „Hm! przysięgam Bogu, jak Marysieńkę kocham, tak dłużej człowiek nie przeżyje“ — przemówił p. Dezydery, rzucając żałośnię okiem na pieski i na próżne haki wbite w drzewo przed dziedzińcem, na których już o tych czasach zwykle wisiało zawsze kilka sztuk okazałej zwierzyny.

— „Masz słuszność kochany Dyziu, mnie już chyba zwarjować przyjdzie“ — odpowiedział gospodarz domu.

— „Wiecie — dodał stary p. Tymowski — mnie już wszystko obmierzło, a mam humor, któregoby mi nikt nie pozazdrościł. Moja gospodyni Rajcowska podobno co wieczór godzinki i litanije spiewa ze służbą, aby Bóg przemienił, tak się daje wszystkim we znaki“.

Łuka poruszywszy piersiami, jak miechem kowalskim, westchnął i dodał: — „Z przeproszeniem Wielmożnych panów, ale co mnie, to już nie długo na Wilczą Górę wywiozą. A dyć to człowiekowi nawet wstyd wyjść do lasu, bo gdy mnie spotka jaki człowiek, co to mu się tam czasem zalało za skórę, to z takiem szyderstwem patrzy na mój kostur, jakby szukał na nim jeża, z którym dziad po proźbie chodził. Panowie! zlitujcie się, a toćto sromota, nawet i chłop już mnie za nic nie ma“.

Treny te. wypowiedziane z tragiczną a la Łuka miną, rozweseliły wszystkich na chwilę.

— No, no! jakoś to będzie może, idź tymczasem stary dziku do Andrykiewicza, a on tam może znajdzie dla ciebie jakie lekarstwo na osmalenie robaka“. — Andrykiewicz był to stary pisarz prowentowy, a miał pod swym kluczem lamus i piwnicę.

Taką to żałobą było całe łowiectwo w Koronie przejęte i nie dziw, bo strzelec bez fuzyi, to ryba bez wody.

Chociaż też gospodarz był rad miłym gościom, bo nawet opleśniała butelka zjawiła się na stole dla osłodzenia smutku, fantazya łowiecka—jakby uciął. Pan Dezydery puszczał tak potężne kłęby dymu z węgierskiej fajeczki, iż wyglądał jak groźny Jowisz w obłokach. Gdy i po obiedzie humor się nie naprawił, zaproponował gospodarz, aby jechać do Mokrzeszy. Mokrzesze należało do Ulesia, były tam znakomicie utrzymane knieje dębowe, gdzie o tym czasie hulała nie jedna trzoda dzików, i wypasała się na żołędzi. Dzierżawcą tego klucza był p. Slaski od lat kilkunastu; dobry gospodarz, myśliwy, a jeszcze lepszy sąsiad, to też stosunek pomiędzy dziedzicem a dzierżawcą był tak serdeczny, o jakim dzisiaj już prawie wyobrażenia nie mamy. P. Slaski, chociaż karmazyn z karmazynów, po ukończeniu szkół u Pijarów na Zoliborzu, słuchał podobno gdzieś tam w świecie nawet medycyny dla fantazyi, i chociaż studya te porzucił, aby nie czynić ujmy drzewu genealogicznemu, nabrał jednak w tej nauce zamiłowania. Gdy więc osiadł na roli, rozpoczął praktykę pomiędzy ludem, sława jego tak się wzmogła pomimo przeszkód pieniących się ze złości adeptów Eskulapa, iż przejeżdżając przez Mokrzesze, spotkać było można nieraz w okół obszernej karczmy więcej fur, jak na niejednym jarmarku lub targu w miasteczku. Chociaż p. Slaski nietylko rady ale i lekarstwa udzielał bezpłatnie, to złośliwe języki odzywały się cichaczem, że propinacya pokrywa wydatki z lichwą. Gdy jednak nasz domorosły Eskulap posłyszał trąbkę w pobliskiej kniei, lub pieski zagrały, natenczas znikał jak kamfora z konsultacyjnej sali, i wynosząc się cichaczem przez ogród, biegł co tchu ze strzelbą na plecach za ponętnem echem.

Gdy kochani sąsiedzi zajechali do Mokrzeszy ku wieczorowi, po wznowieniu trenów i jeremiad żałobą pokrytych łowców, po dobrej kolacyi, zasiedli towarzysze niedoli do *„ćwika“*, przy którym pociągając z kieliszka i wysilając się na różne fortele grackie, dopiero po północy udali się na spoczynek. Do domu nikt się nie rwał, bo noc była tak ciemna, że oko wykol.

Na drugi dzień była mgła niezwykła, zaledwie na kilkadziesiąt kroków można było rozpoznać oddalone przedmioty. Wiadomo że pochmurne powietrze nie wpływa na rozweselenie umysłu, to też i nasze towarzystwo mokrzewskie siedziało przy czarnej kawie i herbacie jak mruki, odbąkując od czasu do czasu zaledwie słowo jeden drugiemu. W komnacie mgła jak na dworze, którą produkowały fajki na długich cybuchach. Nawet ogień na kominku nie miał weselszej fiziognomii „kisiło się“ jak to mówią mokre drzewo, wierne tradycyi szlacheckiej, że tam, gdzie są obszerne lasy, nie szukaj w domu suchego polana.

Pan Slaski wyglądał raz po raz oknem, czy się jaki pacyent nie zjawi, ale i ta rozrywka była mu dzisiaj odmówiona.

Stary zegar pradziadowski wygłosił gęgającym głosem dziewiątą godzinę, i zaledwie ostatnie uderzenie przebrzmiało, dały się styszeć ciężkie ale pospieszne kroki na ganku i w sieni, a równocześnie otwierają się drzwi, któremi jak bomba wpada zadyszany i potem oblany Łuka. Musiała to być niezwykła jego sytuacya, gdyż obecni w komnacie, zerwali się wszyscy na nogi. Łuka odsapnąwszy kilka razy, rękawem otarł pot lejący się z czoła, i ledwo zdołał wyjąknąć „Dzik!“ — ale takim głosem, jakby to w dawnych czasach przyniósł ktoś wieść o nawale Tatarów.

— „Co! gdzie, jaki dzik?

— „Jak Boga kocham dzik — wyzionął Łuka, składając krzyż z wskazujących palców obu rąk na znak, że nie kłamie.

— „Ale gdzie, jaki?“ — krzyknął p. Dezydery zniecierpliwiony.

— „Oto — zaraz — jeno odetchnę, bo mnie w boku kłuje — uf! Dziś rano poszedłem z Bartkiem na kieliszek do karczmy, a Bartek szedł do lasu, aby zobaczyć, jak tam trzoda swojska żeruje, i czy wilki co nie zabrały?“

— „Ażeby cię! — huknął p. Slaski, a za nim Tymowscy — ale cóż dzik, gadaj stary niedołęgo!“

— „Aha! niedołęgo?“ — ale się Łuka nie dał zbić z tropu: — „Otóż ja z Bartkiem poszedłem. Jeszcześmy po tej chłopskiej, zarosłej miedzy nie doszli do Dąbrowy, a tu słychać rechtanie, a potem widzimy, że trzoda pańska wyszła z Dąbrowy, i powoli prostą drogą idzie do wsi, a przy niej dzik!“

Myśliwi podskoczyli na tę końcówkę, jakby ich iskra elektryczna poruszyła.

— „Co! dzik! chyba kpisz, albo ci się w oczach zamroczyło?“

— „Ale jak Boga kocham, dzik, i to bestya odyniec całą gębą, jak pański buhaj nie przymierzając“.

— „No i cóż dalej! gadaj! spiesz się!“ — wyścigał się kwartet łowiecki z pytaniami.

— „A no, ja i Bartek przeżegnaliśmy się. Sięgnąłem ręką do torby po pieniek, aby go wpakować w lufę. — Tfu do bisa! a ja mam kostur w łapie, splunąłem — przeżegnałem się, bo to widać pokusa.“

— „Ale dzik, dzik!“

— „Dzik to się odbije od trzody, to się znowu zbliży, i idzie dalej przy trzodzie, która żeruje po ziemniaczysku“.

— „I cóż idzie?“

— „A idzie!“

Rozpoczął się rwetes i latanina jednego przed drugim, każdy z obecnych chciał się spieszyć, ale nie wiedział po co i z czem, — aż się w końcu upamiętali i przypomnieli sobie, że nie mają strzelb.

Pierwszy p. Dezydery przyszedł do przytomności, i w mgnieniu oka ułożył na chybił trafił cały plan. Wypadli wszyscy na wieś, a mianowicie na koniec tejże, gdzie jedna zagroda stała nadedrogą cokolwiek wysunięta ku lasowi. Pozamykano wszystkie psy, ludzie się pochowali, chłop w zagrodzie wysuniętej młócił właśnie owies — przestał, i cisza zapanowała, jak makiem zasiał.

P. Dezydery, Ślaski i Łuka pozostali na czatach, a Tymowscy pobiegli aby na wypadek wszelki uzbroić hufiec do pokonania odyńca.

Minęło jeszcze dobre pół godziny, gdy z wszelką możebną strategią była zasadzka przygotowana. Od otwartej stodoły rozsypano na ponętę sieczkę z owsa. Po żołędzi i ziemniakach trzoda taką przekąską nie wzgardza. Serca na zasadzce biją jakby młotami, bo Łuka wysunąwszy się po za miedzę zarosłą krzakami, raportuje, że trzoda się zbliża, a z nią odyniec. Nareszcie już do zasadzki dochodzi rechtanie i czasem kwik. Mieszkaniec kniejowy asystuje swojskiej losze, do ktorej pali nieszczęsny koperczaki, a była to locha ciemnej szerści, która wywodziła podobno swoją parentelę od dzikiego szczepu. — Ale i tym razem miano doświadczyć francuzkiego przysłowia: „*cherchez la femme*“ — czyż to mało nie tylko stworzeń boskich, ale i ludzi popadło w taką pułapkę?

Trzoda licząca do 30 sztuk zbliżyła się na kilkanaście kroków od obejścia zagrody i otwartych na oścież wrót. Konkurent leśny na tak niezwykły widok zawahał się, stanął i na wszelki wypadek był przygotowany do odwrotu, gdy jednak „*bella*“ jego czule zarechtała, zdobył się znowu na odwagę, i posunął wolno i ostrożnie naprzód. Na widok owsa objawiła trzoda niezwykłą radość, i rzuciła się na ścieżkę z całą żarłocznością. Dzik posunął się jeszcze bliżej w chwili, gdy towarzystwo jego, nie czując żywego ducha, spostrzegło otwartą stodołę, pełno owsa na klepisku, i bezpiecznie ku niemu poskoczyło. Nie zwykły gość jeszcze się wahał, ale postawszy chwilę, w kilku susach szalonych już był na klepisku, a chlasnąwszy na lewo i na prawo krzyżową sztuką po rycersku szablami, robił sobie rum, zajadając niezwykły przysmak. — W tym momencie dla ukrytych w zasadzce łowców upragnionym, zjawia się z jednej strony stodoły Łuka, z drugiej Bartek, także chłop nie lada i siłacz, i trzask! trzask! już wrota nowej na szczęście stodoły zamknięte i podpierane przez zdążający na pomoc sukurs. Chryste Panie! co się tam wewnątrz działo — sądny dzień — piekielny kwik, zniszczenie, jakiego oko ludzkie nie widziało, a po raz pierwszy tych, co wrota podpierali. Pan Ślaski aż zbladł, i byłby się na ten widok nawet odyńca wyrzekł, tak tam ten panicz wywierał zemstę na zdradzieckiem towarzystwie. — Trzęsła się stodoła nowa, chociaż zbudowana z grubych berwion, a i wrota były z kilkucalowych brusów, jak to był zwyczaj, gdzie były lasy i tartak w pobliżu. — Co tu robić z rozwścieczoną bestyą¿ Dłużej czekając ani jedna sztuka nie pozostanie żywa! Rada wojenna była krótka, chociaż panował hałas i gwar, gdyż się cała ludność ze wsi zbiegła. Sprowadzono linę długą i grubą, siekiery, widły żelazne, przystawiono do dachu stodoły nad sąsiekiem drabinę, wyrwano snopki z dachu, i pierwszy młodszy Tymowski z siekierą w ręku a Łuka z liną, podążyli po drabinie jak do szturmu na mury fortecy nieprzyjacielskiej. Za nimi ruszyli starszy Tymowski i Bartek oraz kilku silnych chłopów z widłami i siekierami. Różne się odbywały próby ataku, ale bezskuteczne. Rozjuszenie, jakie dzik przedstawiał, nie da się opisać. W trzodzie poczynił straszne zniszczenie, zadając szablami razy straszliwe lub depcząc.—Tymowski młodszy ująwszy lewą ręką koniec łiny, stanął na zrębie sąsieku, i

w ten sposób wychylając się, zadał dzikowi cięcie siekierą, lecz przytem omało sam nie wpadł na klepisko. Nareszcie chwycono się lepszego pomysłu, z liny zrobiono pętlicę, i tak nią z góry manewrowano, że gdy dzik zajął jakby odporne stanowisko w rogu klepiska, zarzucono mu z tyłu tę pętlicę na kark, i z nadzwyczajną szybkością zaczęto ciągnąć. Lina była długa na kilkanaście sążni, a więc ujęta przez kilkunastu silnych ludzi, dozwoliła dzika ku sąsiekowi pociągnąć tak, że się przedniemi racicami aż wsparł o sąsiek. Na ten moment czekał młodszy Tymowski, który kilku silnemi cięciami siekiery, która aż w mózgu uwiązła, powalił groźnego zapaśnika.

Dospiewa sobie czytelnik ów hymn okrzyków tryumfu, jaki się rozległ, gdy otworzono stodołę. Tylko p. Slaski inaczej się zapatrywał widząc, ile go to zwycięstwo kosztowało, a nie przeczuwając, ile go jeszcze kosztować będzie,

Wieść o ciekawych łowach rozeszła się szybko po całej okolicy i coraz dalej się szerzyła, a że Slaski i Tymowscy mieli liczną klientelę krewnych, sąsiadów i przyjaciół, rozpoczęła się pielgrzymka ciekawych do Mokrzeszy, jak Mahometan do Mekki. Podczas najsilniejszej klienteli, jaką się p. Slaski cieszył, nie było w Mokrzeszy takiego obozu powozów, bryczek i wózków, jak teraz. Kto od roku a nawet od lat kilku zaniedbał odwidzić kochanego sąsiada, kuzyna lub przyjaciela, teraz pospieszał. Z dworskiej kuchni buchał dym dniem i nocą, a kucharz i kuchcik zwijali się klnąc i złorzecząc nawale tatarskiej. Chociaż gospodarz był oszczędny, to jednak trzymał się wiernie, jak jedenastego przykazania, staropolskiej gościnności, nie dziw więc, że w spiżarni i piwnicy, dobrze zawsze zaprowiantowanych, porobiły się okropne pustki. W miesiąc pękło coś więcej, jak dwie beczki wina, a to na szlachcica dzierżawcę na jednej wiosce już trochę za dużo. Ale cóż było robić, jak dobrą miną podtrzymywać straty materjalne. Powątpiewam jednak, ażeby drugi raz wabił p. Slaski dzika do wsi, i nie wypuścił całej psiarni raczej na niego, aby napędzić, zkąd przyszedł.

Rzecz naturalna, że przez cały czas najazdu p. Dezydery Zarzycki i Łuka rezydowali w Mokrzeszy, wyręczając p. Slaskiego w opowiadaniu, dodając coraz nowsze garnitury elokwencyi myśliwskiej.

Zaledwie kilka lat minęło, p. Dezydery, gdy nie mógł po staremu polować, a nawet strzelby nie widział u siebie na ścianie tak jakoś posmutniał i osowiał, że już nie był do siebie podobien. Zaczął kwękać, chorować, czem się przedtem nie bawił. To też, gdy się położył do łóżka, już z niego nie wstał. Stary Łuka pilnował go dniem i nocą, i tak jak wierny pies nie spuszczał oczów z dogorywającego pana — towarzysza. Ukradkiem, gdy nikt nie widział, obcierał łzę, która jak groch spadała z oka. Gdy p. Dezydery miał już zacząć majaczyć, spojrzał na Łukę i słabym głosem przywołał go do siebie.

— „Słuchaj stary, może już czas w drogę, pamiętaj o pieskach, a teraz zatrąb mi jeszcze raz pojezdnego!“

Łuka usłuchał, wyszedł przed dom, i tak zagrał, żeby się i p. Wojski z Soplicowa nie powstydził, a gdy skończył, rozbeczał się jak dziecko. P. Dezydery, który słuchał tej muzyki, jakby niebieskich tonów, westchnął, podziękował staremu towarzyszowi, a w kilka godzin oddał Bogu ducha. Łuka już nigdy nie przyłożył trąbki do ust, — i dla niego było to już ostatnie pojezdne, a w kilka miesięcy wywieziono go pod Wilczą Górę.

KORESPONDENCYE.

Z Wołynia.

Polowanie na łosie w Cumaniu. Cumań jest jeden z folwarków ordynacyi Ołyckiej w powiecie Łuckim. Słynie z rozległych lasów, pełnych różnego zwierza. Olbrzymia puszcza, sto tysięcy morgów obszaru licząca, przechowuje niejedną tradycyę łowów księcia „Panie kochanku“ który przenosił szum głuchy jej brzóz i sosen nad wiwaty zamku Ołyckiego.

Tu, jak spiewa A Mickiewicz:

„gnieździ się ryś bystry . . . .
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogate“ —

Tych zwłaszcza moc wielka. Żyją swobodnie śród lasów nie nawidzanych siekierą, lub w przepaścistych moczarach, przez które zaledwo zimą przejść można.

Kiedy w tym roku na całej przestrzeni ordynackich lasów objeżdżano łosie, zliczono ich trzysta, a wieleż to takich, które nie wychodzą z niedostępnych a zamieszkałych przez siebie uroczysk!

Mała drużyna myśliwych chciała zapolować w Cumaniu na tego króla jeleni. Przy krótkim dniu a rozległości obszarów, zajęto w trzech dniach tylko dziewięć miotów. Mioty to były rozległe, bo łosia krótko obcinać nie łatwo. Obławę złożoną z dwunastu chłopaczków prowadziło dwóch starszych osoczników miejscowych. Linija myśliwych rzadsza na froncie, łamała się zawsze na skrzydłach, które najlepszymi obsadzano strzelcami, łoś bowiem nie tyle obławy się lęka, ile dróg i ścieżek, i nieraz się zdarzy, że ustępując zrazu przed naganką, cofnie się nagle na widok bitego gościńca, aby się przebić przez huczków, a częściej jeszcze przekraść się bokami. — Pierwszego dnia widziano dziesięć łosiów, do czterech strzelano — pan Kern zabił jednego, ks. Adam Lubomirski drugiego. Następnego dnia ks. Adam Lubomirski zrobił *coup-double* i położył dwa łosie, objechanych było siedm, a ruszonych dziewięć. Ostatniego dnia zapędzono się w głębszą puszczę, gdyż silny mróz pozwolił przejechać przez bagna, przedtem nie zamarzłe. Objechano w trzech miotach łosiów czternaście, wyszło ich na strzelców daleko więcej, bo trzydzieści jeden. *Coup double* ks. Stan. Lubomirskiego położyło dwa młode, — do reszty w tym dniu nie strzelano. Na 50 zatem ruszonych łosiów, na 11, do których strzelano, a zawsze kulą, zabito sześć, z tych trzy młode. Sześć łosiów! i to za wiele, nie wobec ich liczby zwiększającej się co roku, lecz dla serdecznej pieczy, którą tu otaczają to rzadkie i szlachetne zwierzę. Sam nawet Poliszuk, zawzięty myśliwy a myśliwy z urodzenia, nieraz go oszczędza, a przecież ile to pracy, aby go wyśledzić, wytropić, obsaczyć, ileż to razy przy głośnej nagance łoś ściskające go koło huczków złamie, niwecząc całodzienne zabiegi.

Rysiów w tym roku objechano mało w Cumaniu i dzików mało. Sarn zaś, zajęcy i lisów napotkać tu można wiele, zwłaszcza w miotach od pola. Z bijącem sercem słuchałem lotu szybujących co chwila nad głową głuszców i cietrzewi. Wilki gdy mknęły w kniei, zapomniałem o łosiach! Nie wychodziły niestety na strzelców, raz jeden tylko wybiegło ich ośm na skrzydłowego strażaka, który na ich niespodziewane zjawisko — spudłował.

Polowanie w Cumaniu ma wielki swój urok. Nie znajdą tu się może w użyciu przezorne prawa, które myśliwstwem kierują w Galicyi, ale zdumiewa za to u Poliszuka wrodzony

*

a nadzwyczajny instynkt myśliwski, przekazali mu go ojcowie jak on Poliszuki i jak on myśliwi. Z chłopięcia śledził śród puszczy bieg sarny, barłóg odyńca, lub się od wilka bronił siekierą, żaden go trop nie omyli, nie jedna wydra padła mu w sidła, a skoro starszy mu powie: „staniesz przy krzywej sośnie" — lub — „pójdziesz, gdzie to do głuszca strzelono" — pójdzie i trafi.

A przytem w samej tu puszczy ileż poezyi! Dziwnie przemawia do duszy ten obszar tak gęsty, tak zbity i tajemniczy, najeżony pniami powalonych sosen lub wykorzenionych dębów, pełen wałów i jarów, moczarów i bagien, Ileż tu burza zdruzgotała, powykręcała gałęzi, wieleż tu razy nieostrożną iskrą wzniecony pożar ciągnął się przez mile, i zgasł nareszcie z wysiłku, nie mogąc pochłonąć wszystkiej drzewiny, która z wiosną nową nowym zieleniła się liściem!

Kto nie widział w życiu, jak malowniczo wygląda schylony na jednokonnych saneczkach Poliszuk o bystrem oku, który jak kula mknie w las przez pnie i wały; kto nie widział Poliskiego ognia, kiedy się piętrzy sosną dym, a w kolo niego w postołach z lipy, o borsuczej torbie garnie się chciwie wesoła gromada strzelców; kto nie posłuchał jej rozmów pełnych naturalnego dowcipu; kto nie zawąchał przy takiem leśnem ognisku skwareczka wypieczonej słoniny — niech się zapozna z Cumańską puszczą. Czekają nań rysie i łosie, wyglądają serca przychylne, i pozna urok przyrody dziko wybujałej, a pięknej zawsze, śród kraju, który mu błogo przyznać za ojczyznę. *Emer.*

Bereska, 4. Lutego 1879.

Dnia 21. 29. 30. i 31. Stycznia polowałem u W. Zygmunta Dembowskiego w Przemyślskiem — pierwsze dwa dni w lasach wsi Rokietnica, następne w lasach Żurawieckich, należących do księcia Adama Sapiechy, który nie mieszkając obecnie w kraju, Wmu Dembowskiemu w tej kniei polować pozwolił.

Cechą wybitną polowania były, jak zwykle, wzorowy porządek i rozmaitość zwierza w kniei, a uprzejmość i gościnność w domu. Gości, doborowych myśliwych dostarczyły — Poznańskie, Kongresówka i różne okolice Galicyi. Strzelb mieliśmy w przecięciu dziennie 13. Rezultat, uwzględniwszy teren górzysty, głęboki i okiść śnieżną, utrudniającą nagónce równe i dobre gonienie — świetny.

Zabiliśmy:

28. Rokietnica, rewir sosnowy: zajęcy 30, rogaczów 3, lisów 3, dzików 3 (wagi od 90 do 120 kilogr.).

29. Rokietnica, rewir Zawarcie: zajęcy 52, lisów 2.

30. Żurawica pod bażantarnią: zajęcy 50, rogaczów 2, lisów 4, jarząbek 1.

31. Żurawica pod leśniczówką; zajęcy 29, rogaczów 3, lisów 3, dzik 1 (wagi 151 kilogr.), jarząbek 1.

Razem sztuk 187 na 284 strzałów.

W jednym z miotów w rewirze Żurawickim lis na 25 kroków przed strzelcami złapał w gąstwinie zająca, który przeraźliwie wrzeszczeć począł. Lis przestraszony hukiem nadchodzącej nagónki puścił zająca i wyszedł na myśliwych, którzy go, jakoteż zająca, zabili.

Dwa mioty dalej widzieliśmy lisa goniącego zaciekle zająca polem, nie zważając wcale na strzały i hałas nagonki. Fakta te dowodzą, jak namiętnie lis poluje na zająca, gdy, płochliwy z natury, powstrzymać się nie może mimo strzałów i nagónki, — o ileż więcej polować musi, gdy w kniei cisza, a że poluje z dobrym skutkiem, dowodzi stwierdzona prawda, iż tam, gdzie są lisy, zajęcy nie ma. lub mała ich liczba.

W Żurawicy zabito nadzwyczajnej wielkości rogacza. Ważył pewnie za dwa inne, a co szczególne, miał już teraz duże, grube, pełne pereł, zupełnie wyrośnięte choć kosmate rogi.

W tej samej kniei strzelałem 30. do pojedynka (dzika). Kula przeszła między pierwsze dwa żebra od przodu, a wyszła lewą łopatką. przeszywszy płuca. Dzik padł, leżał chwilę, następnie znikł w gęstwinie. Poprawić nie mogłem, nie mając drugiej kuli, gdyż dzików nie oczekiwaliśmy. Farbował silnie, lecz przeszedł trzy mioty, nie oblęgając w żadnym. Nazajutrz obcięto go, legł w barłogu nie żerując. Gdy szedł na linię strzelców, charczał w skutek postrzału tak silnie, że go o paręset kroków słychać było. Szedł wolnym truchtem, i szczęśliwie znowu wyszedł na mnie — dobiłem go. Co to za siła i wytrwałość w tem zwierzęciu!

Do tych ciekawych szczegółów dodam jeden wypadek zabawny: na hr. Z. idzie w Rokietnicy w młodym drzewostanie lis na sztych. Passyonowany myśliwy i dzielny strzelec delektuje się miłem spotkaniem i przypuszcza lisa dość blisko. Pada strzał, i pada (proszę nie myślić, że lis) — grabek dość wysoki i konarzysty na głowę hrabiego, ścięty strzałem, Hrabia ochłonąwszy z zdziwienia, strzela drugi raz, lecz również bez skutku, dopiero strzał Kongresowiaka zabija lisa. Nadleśniczy szacował (mówiąc czysto po galicyjsku) *den Waldfrevel* na 30 centów, a hrabia tak się zawziął na ród lisów, że zaraz w następnym miocie zabił, mszcząc się, wdowę po lisie, który był powodem tego zdarzenia, bez względu, że była w smutku pogrążoną po świeżej stracie małżonka.

Teofil Żurowski.

Z okolicy Ropczyc.

Posyłam wam pobieżne sprawozdanie o stosunkach myśliwskich i stanie zwierzyny w naszych stronach, sądzę bowiem że nie jeden z myśliwych będzie rad takiej wiadomości, przesłanej choćby z najodleglejszego kąta naszego kraju.

Położenie mamy dosyć górzyste, są to pierwsze przedgórza Karpat, pola poprzerzynane licznymi parowami zagajonymi, które tworzą naturalne remizy, a posiadając doskonałą wodę, są znakomitem schronieniem dla zwierzyny. Lasu jest dosyć, gatunki drzew mięszane, szpilkowe i liściaste, największe jednak kompleksy nie przenoszą 1000 morgów nieprzerwanej przestrzeni. Pośród pasma gór płynie rzeczka „Wielopolka" tworząc przeszło trzechmilową przestrzeń łąk słodkich i doskonałych. Widzicie z tego, że przy jakiem takiem szanowaniu, stan zwierzyny mógłby się podnieść znakomicie, ale jakże dalecy jeszcze jesteśmy od tego. O żywieniu zwierzyny podczas zimy ostrej prawie nie słychać u nas, a tu klimat ostry, i częstokroć zwierzyna, rozmnażana przez lat kilka z największym trudem, pada ofiarą jednej złej zimy lub mokrej wiosny. Od lat siedmiu staram się rozmnażać zwierzynę, i w istocie doszedłem do niejakich rezultatów, zastanawiam się jednak, dla czego usiłowania moje napotykały tak wielkie trudności. Przyznaję, że marcowe i kwietniowe mioty zajęcze giną zazwyczaj z powodu zimna, że lisy, psy i koty wiele szkody wyrządzają, że wreszcie kłusownictwo nie mniejsze jest u nas, niż gdziekolwiek, — ale z tymi wrogami łowiectwa łatwo się jednak uporać częściowo: lisy wyztrzelałem, psy i koty każę tępić ile możności, a kłusownictwo staram się także trzymać na wodzy przez surowy dozór i zadzierżawienie polowań gminnych. — Najgorszą jednak plagą są źli sąsiedzi, owe wsteczne i barbarzyńskie pojęcia o polowaniu, ci kucharze i lokaje, polujące

przez cały rok na kuchnię dla jejmości! Pewien sąsiad n. p. mieszkający w mieście, oddał polowanie na łaskę leśnego z warunkiem, by tenże odsyłał mu ubitą zwierzynę. Nimrod ów bił więc wszystko o każdej porze, a moje biedne sarny i zające padały ofiarą. Na szczęście udało mi się przekonać właściciela o wadliwości tej procedury, nająłem tedy to polowanie na lat kilka za pewną ilość zwierzyny, której oczywiście z własnego rewiru dostarczam. W innej znów miejscowości dzierżawi trzech osławionych kłusowników polowanie dworskie i dostarcza zwierzyny na kuchnię, oczywiście, że w takim rewirze pustki okropne. I tak niedawno polowałem tam, i rzec mogę, że padłem ofiarą tradycyi, gdyż u poprzednika zabijano niedawno jeszcze w jednym dniu kilka rogaczów, lisów i około 50 zajęcy, obecnie zaś w 8 strzelb zabiliśmy dwa szaraki, bodaj czy nie ostatnie. — Ale nie sądźcie by wszędzie tak źle było. Właśnie przed rokiem dostało się naszym rewirom w udziale doskonałe sąsiedztwo przez nabycie Góry Ropczyckiej i Zagorzyc przez hr. Artura Potockiego, nie wątpię bowiem, że zaprowadzenie doskonałej administracyi myśliwskiej, jaką się wszystkie dobra hr. Potockiego odznaczaja, i nasze polowanie znacznie podniesie. — Mamy już wreszcie w najbliższej okolicy kilka wcale ładnych polowań, jedno z najlepiej urządzonych jest w Czudczu, w tym roku zabiliśmy tam w jednym dniu na 800 morgach 5 kozłów i 20 zajęcy w 5 myśliwych. Podnieść tu muszę, że to polowanie nie posiada zamiłowany myśliwy, lecz właścicielką jest kobieta; a jednak daj Boże, aby wszędzie tak sumiennie przestrzegano przepisów łowieckich i tak troskliwie szanowano zwierzynę. Bardzo ładny stan sarn jest także w Zgłobniu, a jestto zasługa nowego właściciela, który kłusownictwo i nadużycia straży leśnej poskromił. — W Wielopolu zabiliśmy w tym roku w 6 strzelb na 700 morgach w dwóch dniach 5 kozłów, 1 lisa i 40 zajęcy ,w przeszłym roku zabito w tych samych warunkach 12 kozłów, powodem zaś mniejszego rezultatu w sarnach bardzo brzydki czas i okiść na drzewach. — Zalecić tu muszę przyrząd bardzo pojedyńczy, który z doskonałym skutkiem używam od paru lat do polowania na sarny i lisy. W Niemczech zwą go *Lappen* albo *Blenden*, nasi zaś chłopi nazwali go *Straszakami*. Są to pióra przymocowane po trzy sztuki w odstępach 12 cali na sznurze zwijanym na kołowrocie. Kołowroty wbija się w ziemię o 80 kroków od obudwu stanowisk narożnych, a sznur rozciąga się wzdłuż flank ku nagonce i podpiera go palikami do wysokości trzech stóp. Chłopcy rozstawieni na flance co 300 kroków poruszają sznurem, skoro nagonka ruszy z miejsca. Tym sposobem miot jest zamknięty, a przy dobrem użyciu „*Straszaków*“ prawie nie ma wypadku, by lis lub sarny wyszły flanką. — Mogę twierdzić w ogólności, że stan sarn i zajęcy powiększył się u nas w ostatnich latach, kuropatw także mamy więcej, i tak przed siedmiu laty zastałem u siebie istotnie tylko 5 sztuk kuropatw, a tej jesieni padło już u mnie pomimo bardzo uciążliwego terenu przeszło 70 sztuk, zostało zaś wiadomych silnych 8 stadek. Ciąg słonek był tej jesieni niezwykle obfity, niestety jednak zajęcia poza domem nie pozwoliły mi korzystać z tej sposobności tak, że tylko raz i to podczas deszczu na słonki polowałem. Przepiórek i błotnego ptactwa prawie nie mieliśmy w tym roku. Dziki bardzo rzadko u nas się pojawiają pomimo, że nasze lasy obfitują w żołądź i bukiew. — Nakoniec proszę starszych i doświadczeńszych myśliwych, aby mnie swą radą wesprzeć raczyli, odpowiadając na następujące dwa zapytania:

1. Jakim sposobem zaprowadzić jarząbki, czy sprowadza się je parami, czy tylko jaja?

2. Czy można psy legawe kastrować bez nadwerężenia ich przymiotów łowieckich?

Wielopole skrzyńskie 10. Lutego 1879. *R. W.*

Bilcze, 4. Marca 1879.

Po ukończeniu pory łowieckiej w tym roku, przesyłam sprawozdanie z postrzeżeń tegorocznych i ze stanu zwierzyny.

Rok ubiegły był bardzo sprzyjający rozmnożeniu zwierzyny. Szczególnie zajęcy mamy wiele, których ilość znacznie się powiększyła pomimo, że w roku zeszłym ubito w trzech dniach blisko 600 sztuk. Liczny stan zajęcy w tutejszych lasach zawdzięczyć należy gęstym zapustom, wychowanym przez racyonalne prowadzenie cięć, wyniszczeniu lisów, karmieniu zwierzyny w lasach koniczyną, owsem i zasianym miotłowcem.

Stan sarn powiększył się w tym roku znacznie. Lizawki były bardzo często odwidzane, odnawialiśmy takowe od minionej wiosny do jesieni cztery razy. Zasiew na polankach w lesie rzepaku, okazał się bardzo sprzyjającym utrzymaniu sarn w kniei. W jednej z kniei dębowych, z którą graniczą lasy sąsiednie z licznym stanem sarn, widziałem d. 2. Listopada na polance zasianej rzepakiem 19 sztuk sarn na przestrzeni jednego morga, kilka sztuk grzebało w lizawkach, a reszta pasła się na rzepaku. Nadmienić muszę, że w tej kniei dawniej takiej ilości sarn nie spostrzegano. Tryzubki ustawione nad lizawkami, nałożono sianem i owsem nie młóconym. Siano, pomimo że słodkie i drobne, nie bardzo sarnom smakowało, ale owies trzeba było nakładać podczas wielkich śniegów w Styczniu dwa razy w tygodniu. W drzewostanach, w których rąbano osiczynę, do tryzubów z sianem i owsem sarny nie przychodziły. Osiczyna zatem jest dla sarn najwyborniejszą karmą.

W kniejach tutejszych oprócz wymienionej zwierzyny, znajdują się i dziki. Ilość ich trudno oznaczyć, gdyż są przechodnie, i przebywają w kniejach sąsiednich i tutejszych. Gdy sąsiedzi polują, natenczas u nas spostrzega się większa ilość dzików. W Styczniu, gdy polowano przez dwa dni w sąsiednich lasach, znaleźliśmy w tutejszych trzy stada w ilości 26 sztuk. Z powodu spóźnionej pory ubiliśmy tylko trzy sztuki. Na drugi dzień nie było w kniei ani jednej sztuki. Dziki tropiliśmy każdego dnia, ale tak znacznej ilości, jak wyżej wymieniona, nie naliczyliśmy. — W czasie od 1. Stycznia 1878 do końca Stycznia b. r. ubito w lasach tutejszych 28 dzików różnego wieku. Urzędowa obława w naszych lasach na dziki jest zbyteczną, gdyż zależy nam samym na wytępieniu tej zwierzyny, która wyrządza znaczne szkody w lasach i polach. Z zapatrywaniem korespondenta ze Skały w nr. 3. „Łowca“, zgadzam się zupełnie — gdzie dziki przebywają, zajęcy nie ma. Potwierdza się to w naszych kniejach, w których dziki mieszkają, pomimo sprzyjających względów, zajęcy nie ma. W tym samym kompleksie lasu w części, gdzie dziki nie dochodzą, znajduje się znaczna ilość zajęcy. Co się zaś tyczy dalszych uwag korespondenta, który prosi o pardon dla Mekity, to tego jegomości niech sz. korespondent chowa jako swego protegowanego w kojcu z żelaznymi szczeblami, lub na silnym łańcuchu. Sprawia Mekita wiele przyjemności, gdy się produkuje swojem *salto mortale* na starych lipach, i kitą wywija jak chorągiewką, ale proszę zaglądnąć za dwa miesiące do jego jamy, ile to tam będzie skoków niedogryzionych, czaszek, łopatek, piszczeli, pierza, turzycy! Jedna liszka żywiąca swój płód, wyniszczy kilkadziesiąt zajęcy, kuropatw i t. p. a i sarnom nie przebacza. Śmierć tobie zatem, kochany Mekito bez różnicy w wyborze środków, gdybyś był nawet jeszcze sprytniej-

szym, jak zwykle, udawał w biedzie najpotulniejszego, i obiecywał solenną poprawę, — nie uwierzę ci, bo jesteś lisem, i przypomnę ci, czego się nie wyprzesz, jak przed trzema laty złapałem cię w Maju na gorącym uczynku, niosącego młodziutkie sarniątko. Szczęście twoje Mekito, że szedłem bez strzelby, ty niecnoto, poetyczna ozdobo łowów skałackich!

Radzę niektórym panom, posiadającym prawo polowania w tutejszych okolicach, aby przeczytali ustawę łowiecką z d. 30. Stycznia 1875, mianowicie §. 1. — Tym razem niechaj ta rada wystarczy. *S. P.*

KRONIKA.

Otrzymaliśmy następujące pismo:

Pierwsze walne zgromadzenie, powołane z powodu potrzeby złożenia grupy łowieckiej, mającej wziąć udział w pochodzie uroczystym dnia 24. Kwietnia — postanowiło; iż owa grupa ma być złożoną. W tym celu wybrano komitet jubileuszowy, który mianował z swego grona komitet exekucyjny, i powierzył temuż obowiązek zajęcia się wstępną w tym kierunku pracą.

Pozwalamy sobie przeto przesłać w kilku słowach rezultat dotychczasowego działania tego komitetu. Po zasięgnieniu rady u rzeczoznawców, i dojrzałem rozważeniu udzielonych przez tychże wskazówek, możemy co do kosztów, jakich złożenie grupy łowieckiej wymagać może, następne dać objaśnienie. Koszta te, o ile drogą subskrypcyi zebrane być mogą, wynosić będą około 15.000 zlr., w tej sumie jednak mieszczą się tylko ogólne wydatki, t. j. rzędy dla koni, wynajęcie i przyozdobienie powozów i koni pociągowych; koszta zaś stroju panów, biorących udział w pochodzie, ich broni myśliwskiej, koni wierzchowych, przyborów i t. d. nie są tą sumą objęte.

Z tąd wynikają następne zapytania:

Wielu ludzi byliby pojedyńczy panowie gotowi dostawić do pochodu, lub jaki ekwiwalent (na jednego człowieka 70 zlr.) w gotówce złożyć?

Czy panowie pragną osobiście wziąć udział w pochodzie, lub tylko konie dostawić, dostarczyć rynsztunku, lub wreszcie w ogóle tylko przyczynić się, i o ile do pokrycia kosztów?

Przybory i rynsztunek potrzebny, wskazuje epoka historyczna, jaką dla pochodu przyjęto — jest to epoka panowania Maxymiliana I.. a więc: pióra dzika, kusze (łuki), kołczany, rusznice z lontami, pistolety trokowe, kaptury i pierścienie sokole, odznaki łowieckie i t. d.

Gdyby przy zbieraniu pieniędzy okazała się nadwyżka, to przeznaczoną ona będzie na cel dobroczynny i pożyteczny.

Upraszamy o skuteczne poparcie naszych celów, iżby myśliwi wzięli udział czynny w grupie łowieckiej i chętnie przystąpili do urzeczywistnienia tak pięknego przedsięwzięcia.

Wiedeń 3. Marca 1879.

A. Schwarzenberg.

Z całą gotowością i dobrą wolą umieszczamy to pismo komitetu, mającego na dzień uroczystego obchodu srebrnego wesela *Najjaśniejszych Państwa* złożyć grupę łowiecką, a oraz wzywamy sz. członków Towarzystwa łowieckiego, jakoteż myśliwych w kraju naszym, by według możności i chęci do uświetnienia tej dla całej monarchii radośnej uroczystości, przyczynić się raczyli — Subskrypcyę przesłać należy wprost do komitetu „Pochodu łowieckiego“ (Wien, Neuer Markt 8, Palais Schwarzenberg), lub na ręce Sekretarza galic. Tow. łow.

Poturzyca 1. Marca 1879.

W dniach od 27. Stycznia do 2. Lutego t. r. polował JExc. Włodzimierz hr. Dzieduszycki w lasach dóbr swoich poturzyckich z gronem około 25 myśliwych. kierując polowaniem osobiście. Sprawozdanie umieszczone w nr. 3. „Łowca“ podało rezultat łowów.

Winienem do owego sprawozdania dołączyć wiadomość o stanie zwierzyny w kniejach poturzyckich i jej żywieniu.

Po bardzo obfitym w pożywienie dla dzików i sarn roku 1877, był rok ubiegły mniej dostatni, żołądź bowiem, główne dzików i sarn pożywienie, średnio i tylko miejscami zrodziła, dostarczając wprawdzie dla buchtujących wszędzie i wietrzących nawet w najgłębszem ukryciu dzików dostatecznego żeru, lecz za mało dla znacznego stanu sarn, które nie dotrzymując konkurencyi dzikom w wygrzebywaniu żołędzi z pod zmarzniętego śniegu, żywiły się gałązkami po zrębach, lub z litościwej ręki myśliwego, jeżeli im dorzucał siana.

Dziki trzymały się tylko po dębinach lub zagajach z nasiennikami dębowymi, żerowały po dużych obszarach, częstokroć nawet w dzień, wyglądają też dobrze, a warchlaki mają wzrost nadzwyczajny — małych, wynędzniałych warchlaczków nie widziano.

Dzików w kniejach radwanieckich otropiono w czasie polowania: 4 stadka — razem około 40 sztuk; w poździmirskich 3 stadka — ok. 20 szt.; w poturzyckich 4 stadka — ok. 40 szt.; w skomoroskich 3 stadka — około 20 sztuk — razem 120 sztuk, które przez całą zimę, z małą zmianą, tam przebywały, a podczas polowania rozproszone, znowu, z ubytkiem ubitych, powróciły do swych legowisk.

Wilków po pierwszych śniegach w Grudniu kręciły się dwa stada, 4 i 7. Strzelane i tępione niezmordowanie i na wszelkie sposoby w całej prawie okolicy, zmniejszyły się w Styczniu do 3 sztuk, które w dniu 30. Stycznia razem z dzikami objechane w kniei poturzyckiej i strzelane, cało jeszcze uszły, nieustannie jednak prześladowane, obecnie już tylko w dwóch sztukach pojawiają się w kniejach. Chociaż gromady wilków robią dalekie wycieczki, a szkody przez nich wyrządzane dzielą się na znaczne przestrzenie, i są dla kniei nader szkodliwe, głównie w porze niewypędzania zwierząt domowych na paszę; to jednak zawsze chętniej i częściej pojawiają się wilki w kniejach, w których obfitość zwierzyny ułatwia im rabusiowskie łowy, a szkody w zwierzynie wyrządzane, przybierają tam groźne dla ogólnego zwierzostanu rozmiary, zwłaszcza w kniejach nisko położonych, podczas gołoledzi.

Mimo szkód przez wilki czynionych, stan sarn w kniejach poturzyckich jest bardzo dobry, a w czasie polowania wychodziły na strzały myśliwych, nawet w średnich miotach, stadka sarn liczące 8 do 16 sztuk, lub też niestrzelane przemykały przez linije myśliwych, wyczekujących pojawienia się zapowiedzianych dzików.

Zajęcy jest stosunkowo więcej, jak w latach ubiegłych, co wynika z przestrzegania ustawy łowieckiej w okolicy, z suchych lat, z łagodnej minionej zimy, i z żywienia zajęcy w porze wielkich śniegów i zawiei.

Z epizodów ciekawych ostatniego polowania wymienić muszę rzadki wypadek, iż kierujący polowaniem JExc. przejeżdżając z jednego miotu do drugiego na przednich saniach publicznym gościńcem w kniei poturzyckiej, spostrzegł przemykające stado dzików w miocie już przegonionym, a podjechawszy szybko naprzód, w chwili, gdy stado przemknąć chciało przez gościniec, szarżując prawie na sanie, z sani trafnym strzałem położył ogromną lochę. *Fabiański.*

W Wysocku, dobrach Stefana hr. Zamojskiego, polowano przez dni sześć:

24. Stycznia w lesie korzenickim. Obecni: Artur hr. Potocki, Andrzej hr. Zamojski, Jan hr. Stadnicki, Jan Brzozowski, Zygmunt Dembowski, Włodzimierz Younga i gospodarz. Na 140 strzałów padło 54 zajęcy, 3 rogacze, 3 lisy.

25. Stycznia na polach w Wysocku. Do towarzystwa wyżej wymienionego przybył Ex. Ludwik hr. Wodzicki. Na 412 strzałów padło 131 zajęcy.

27. Stycznia w lesie za Maczugami. Myśliwi: Artur hr. Potocki, Andrzej hr. Zamojski, Jan Brzozowski i gospodarz. Na strzałów 72 zabito 25 zajęcy, 3 rogacze i 3 lisy.

30. Stycznia na polach w Wysocku i Moszczanach. Myśliwi. Artur hr. Potocki, Andrzej hr. Zamojski, Jan hr. Stadnicki, Florjan hr. Zamojski, Stefan x. Lubomirski, Juljusz i Zdzisław hr. Tarnowscy, Jan Popiel i gospodarz. Na strzałów 467 padło 111 zajęcy.

31. Stycznia w lesie Opackim. Towarzystwo myśliwskie jak dnia poprzedniego. Strzałów 98. Rezultat: 36 zajęcy, 3 rogacze, 2 lisy.

1. Lutego polowanie na dziki w lasach za Maczugami. Towarzystwo jak w dniach poprzednich. Strzałów 14, padły 4 dziki.

W sześciu więc dniach ubito: 357 zajęcy, 9 rogaczy, 8 lisów, 4 dziki. Rogacze w ogóle były szanowane, rezerwowane do polowań na podjazdy w lecie. Lisów mało, albowiem stale są tępione przez rok cały. Straż leśna miała pozwolenie strzelania tylko do dzików i lisów.

Łysakowski.

Krukienice 23. Lutego 1879.

Wczoraj p. Janicki z Ostrożca, stanąwszy na tropach, położył dwoma celnymi strzałami — dwa dziki w lesie Krukienickim.

J. Ostrzechowski.

W Kolbuszowej u hr. Tyszkiewicza polowano w dniach 10. i 11. Stycznia, i ubito w pierwszym dniu z powodu zawiei śniegowej tylko

26 zajęcy i 3 lisy. W drugim dniu na polowaniu kociołkowem w 10 strzelb na przestrzeni 22 morgów, padło 130 zajęcy. W jednej remizie na przestrzeni 22 morgów zabito 75 sztuk.

Wielkie zamiłowanie łowieckie Właściciela i staranne pielęgnowanie zwierzyny, przyczynia się wielce do rozmnożenia jej.

W. B.

Olejów 12. Marca 1879.

W dobrach wysoko położonych Olejowskich, w których przed 20 laty sarna nie była znaną, ubito w ciągu roku do 1. Marca 1879:

rogaczów	10
lisów	18
zajęcy	307
kuropatw	59
słonek	250
przepiórek	356
różnej zwierzyny	183
Razem	1183 sztuk.

Kaź. hr. Wodzicki.

Olejów 12. Marca 1879.

W rewirze kameralnym Rachin, ubiło Towarzystwo obywatelskie w czasie sześcioletniej dzierżawy do dnia 1. Marca 1879 roku:

dzików	47
rogaczów	132
żbików	3
lisów	33
zajęcy	68
jarząbków	13
Razem	296 sztuk.

Kaź. hr. Wodzicki.

Pogorzyce 9. Marca 1879.

Przepraszam, że tak późno nadsyłam przyrzeczone sprawozdanie. Przyczyną tego jest niedopisanie niektórych sąsiadów myśliwych, którzy obiecali mi donieść o ilości ubitej u nich zwierzyny, a pozostawiwszy mnie w wyczekiwaniu ich sprawozdań, ostatecznie wcale nie nadesłali.

Daję więc to co mam:

W ubiegłym roku myśliwskim na polowaniu w Pogorzycach, odbytem d. 28 Listopada, ubito zajęcy 58, kuropatw 4. Na częściowe potrzeby w ciągu roku(?) ubito zajęcy 67, rogaczy 2, kuropatw 36. Razem przeto zginęło zajęcy 125, rogaczy 2, kuropatw 40. Przestrzeń polowania lasów i pól wynosiła 1500 morgów.

W lasach do Chrzanowa należących około 5000, a razem z polami przeszło 7000 morgów obszaru polowania mających, odbyto 8 większych polowań, na których zabito:

12. Października 1879 zajęcy 69, lisa 1, cietrzewia 1.

26. Października zajęcy 89.

9. Listopada zajęcy 91, cietrzewi 4, słonek 2.

25. Listop. zajęcy 85, rogaczów 3, lisa 1, cietrzewi 2, słonkę 1, sarna jedna sama się zabiła.

9. Grudnia zajęcy 90, rogaczy 2, lisa 1, cietrzewi 3.

21. Grudnia zajęcy 85, kuropatw 2.

27. Grudnia zajęcy 32, cietrzewi 2.

31. Grudnia zajęcy 44.

Oprócz tego służba leśna z zakąci i pól, nie objętych okręgiem obławowym dla polowań większych usystemizowanym, dostarczyła częściowo na potrzeby 195 zajęcy. Nadto ubito w polach kuropatw 230, cietrzewi na tokach 52, słonek 7, kaczek 54. Ogółem wszystkiej zwierzyny ubito w Chrzanowskiem zajęcy 780, rogaczy 6 (w tem sarna), lisów 3, cietrzewi 66, kuropatw 232, słonek 10. kaczek 54 — razem sztuk 1151. — Rezultat to wcale niezły, a gdy się wspomni, że przed 10 laty w tych samych lasach z mizernym zającem trudno się spotkać było, to niepodobna się powstrzymać od pochwały dla p. nadleśniczego Wolfa, którego staraniom gorliwym i umiejętności łowieckiej rozrost ten zwierzyny zawdzięczyć należy. Polowanie na zające kończy on zwykle już 1. Stycznia, a każdy miot raz tylko w roku spolowanym bywa. Od 1. Stycznia ściga on nieustannie lisy i wszelakiego rodzaju szkodników, zimową porą rozrzuca w lesie paszę. Gdy się więc zważy, jak nędzna tu gleba, a tem samem i uboga flora, to rezultaty można nazwać świetnymi.

Podczaski

Dąbrówki, dnia 15. Lutego 1879.

Wykaz ubitej zwierzyny w dobrach Ordynacyi Łańcuckiej w r. 1878.

Zwierzyua użyteczna:

daniele	6
sarny	19
zające	323
ptactwo:	
bażanty	23
kuropatwy	104
przepiórki	28
słonki	71
kszyki	70
gęsi	4
kaczki	49
rozmaite	19
Razem	716
Zwierzyna szkodliwa:	
lisy	89
borsuki	5
kuny	6
tchórze	8
włóczące się psy	20
koty	9
ptactwo:	
orły	2
jastrzębie rozmaite	67
kruki, wrony, sroki	384
Razem	645 sztuk.
Szkodliwa i użyteczna zwierzyna ogółem	1361 sztuk.

Dyrekcya lasów i łowiectwa Dóbr Ordyn. Łańcut.

Krukienice 14. Lutego 1879.

W Krukienicach, majątku hr. Zygmunta Drohojowskiego ubito tej zimy na obszarze 1000 morgów lasu i 1000 morgów pól, łąk i moczarów w pięć lub sześć strzelb, 15 do 20 naganiaczy na kilku polowaniach: rogaczy 42, dzików 10, lisów 7, zajęcy 52, kuropatw 44, słonek 26, dubeltów 2, kszyków 495, kaczek 75, chróścieli 54, przepiórek 32. — Razem sztuk 839.

Zdanie wyrażone w nr. 2, t. r., iż podanie obszaru, na którym się odbywa polowanie, daje miarę stanu zwierzyny, zdaje mi się być nie wystarczające. Są dnie, w których pędzona zwierzyna idzie na myśliwych, jeżeli dobrze strzelają, to można wybić z niej $^3/_4$, a ledwie $^1/_4$ pozostanie; w innych zaś dniach mimo najlepiej prowadzonej nagonki zwierz uderza na nią i na boki, wtedy najlepsi myśliwi ledwo $^1/_4$ zwierzyny położą, a $^3/_4$ rozsypuje się po kniejach. W jednem miejscu używają do polowania 100 do 150 naganiaczy, którzy gęsto idąc muszą całą zwierzynę wypłoszyć, w innem na takim samym obszarze idzie 15 do 20 gońców, a w takim razie, zwłaszcza w kniei gęsto podszytej, zwierz albo wcale nie ruszy z miejsca, lub wymyka się nie spostrzeżony. Sądzę przeto, iż dokładne sprawozdanie winno podać następne punkta: 1. Liczbę myśliwych. 2. Liczbę strzałów. 3. Liczbę naganiaczy. 4. Obszar miotu. 5. Charakter miotu. 6. Jaka pora: pochmurna, jasna, mroźna, odwilż, śnieg, zawierzucha, deszcz i t. d. 7. Ile godzin polowano. 8. Wiele miotów spolowano.

Jan Ostrzechowski.

Kopeczyńce 21. Lutego 1879.

Ze wszystkich stron dochodzą „Łowca“ sprawozdania z polowań tegorocznych, upraszam zatem o przyjęcie wykazu ubitej w r. 1878 w Kopeczyńcach zwierzyny:

Dzików 3 (jednego z nich złapano), rogaczów 6, zajęcy 175, lisów 10, borsuka 1, dropie 3, bażantów 14 (do chowu pozostało kur 87, kogutów 9), kuropatw 19, kaczek krzyżówek 13, słonek 133, dubeltów 28, kszyków 123, przepiórek 119, jastrzębi złapano 21, sów złapano 18, kań nad puhaczem ubito 19, wron 173, srok 76, psów w lasach zabito 13, różnych małych jastrzębi 15. — Razem sztuk 1088.

F. S.

Poturzyca 17. Lutego 1879.

Właściciel Świtarzowa struł w lasach swoich dziesięć wilków, za które Rada powiatowa wypłaciła nadgrody 50 złr. Zabito także w Wołstwińskim lesie jednego wilka przed tygodniem.

F.

W Gogolewie w Poznańskiem ubito w ciągu roku t. j. od 1. Lutego 1878 do 31. Stycznia 1879 3 rogacze, 580 zajęcy, 19 lisów, 11 kotów, 1 kunę domową, 7 łasic, 2 słonki, 25 bażantów, 10 kaczek, 669 kuropatw, 51 przepiórek, 49 jastrzębi, 127 wron i srok. Razem 1538 sztuk. Obszar opolowany 6500 morgów.

Dzien. Pol.

Jagd-Zeitung donosi, iż w Ragendorf. majętności hr. Zichy na Węgrzech, zabito słonkę dnia 14. Lutego.

Dnia 3. Marca t. r. ubił w Trościańcu, koło Złoczowa, leśniczy słonkę. Jestto zapewne pierwsza w bieżącym roku zastrzelona. Czy u nas zimowała, czy to awangarda, na pewne twierdzić nie można, lecz pierwsze przypuszczenie ma więcej prawdopodobieństwa. Zawsze jest to dość rzadki wypadek, że słonka przy mrozach, które w b. roku w Trościańcu do 18° dochodziły, nie zginęła, a przytem chudą wcale nie jest. *K. J.*

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

KWIECIEŃ.

Szare pole poczyna przybierać barwę zieloną w polu, na łąkach i w lesie. Jak początek miesiąca zwykle bywa zimowym jeszcze, słotnym, wietrznym, a nawet często mroźnym, tak koniec powleka się szatą godową wiosny, uroczej zieloności, świeżej woni i kwiecistych barw. Już wtedy słonka ciągnąć przestaje, jaskółka lepi gniazdo i radośnie świegoce, w ślad za nią przybywają do nas turkawki i synogarlice, młode wiewiórki z gniazd się wychylają, a słowik poczyna swój spiew powabny. Pora to polowania na wodne ptactwo, a gdy słonka już nie ciągnie, myśliwy zawiesza strzelbę na długi spoczynek, bo wszystko teraz odradza się, albo już pielęgnuje potomstwo.

W kniei odyniec i wycinek buchtują po gąszczach, warchlaki chodzą osobną trzodą, a samury układają się w barłogach. Jeleń odbija się od stada i w rzadkim lesie wyciera wieńce swe o drzewa — toż samo czyni kozioł. Mięso rodu rochmannego teraz nie smaczne. a skóra podziurawiona przez owady przegryzające się z pod niej. Zając albo się koci lub parkoci. Lisy wywiodły już w jamach 3 do 9 młodych, tchórze 3 do 6, wydry 2 do 4. Borsuk w nocy wywodzi dzieci swe z jamy. Wszelkie polowanie ustaje, nawet na wędrowne błotne ptaki. Myśliwy teraz przysposabia sobie gniazdo dobre psów legawych, układa młode pieski, opatruje strzelby i przybory myśliwskie, rozjazdy i sieci, przygotowuje czółna i strzeże psów, by się nie wykradały za zwierzyną, która teraz potrzebuje rozumnej opieki i spokoju, bo się rozradza.

Miesiąc to uroczego polowania na słonki, które myśliwym tyle prawdziwej sprawia rozkoszy.

OGŁOSZENIA.

Pana **C. K. w Dorze,** który nas łaskawie obdarza cennemi korespondencyami, upraszamy o podanie swego nazwiska, którego w pierwszej korespondencyi nie mogliśmy odczytać. — Mamy go prosić o wyjaśnienie niektórych wątpliwości, odnoszących się do nader ciekawych zapisków **o rybołowstwie w Prucie,** których jedynie z tego powodu w ostatnim numerze „Łowca“ nie umieściliśmy.

Szanownych współpracowników, na chwałę Pisma i łowiectwa naszego, coraz liczniejszych, przepraszamy, iż z powodu szczupłych ram „Łowca“ prace ich później umieścić musimy. Mamy nadzieję, iż owa życzliwość dla Pisma nie ostygnie, owszem wzmoże się i tem większy sprawie łowieckiej przyniesie pożytek.

Przypominamy subskrypcyę na seryę rycin ptaków drapieżnych — dotąd ledwo kilkunastu subskrybentów się zgłosiło.

INSERATY.

Odpowiedzialny za redakcyę **Wład. Zontak** ul. Teatralna Nr. 18. Nakładem galic. Towarzystwa łowieckiego.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.